Cena 35 fen. — 25 cent.



Treść zeszytu 12.

ŚWIATŁO

Rok V. Bytom G.-Sz., 1. Grudnia 1891. Nr. 12.

„ŚWIATŁO“ wychodzi raz na miesiąc 1-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi na poczcie lub w Eksp. „Katolika“ **1 m.** Zeszyt pojedyńczy kosztuje 35 fen. = 25 cent. — „ŚWIATŁO“ zapisane jest w liście pocztowej pod Nr. 81. (Zeitungs-Preisliste Nr. 81.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

SPEŁNIONA WRÓŻBA.

(Dokończenie.)

Na drugi dzień skoro świt, zażądał Skiba klucza od komory, który zawsze przy sobie nosił.

— Dziś ci zimno przypada — rzekł do żony — a tyś niby zdrowa; jednak te Cyganki, to ci mądre baby.

Sołtyska chciała coś odpowiedzieć, ale za oknem ukazał się handlarz, który przyszedł po dwa woły; Bartłomiej postanowił je sprzedać, aby paszy oszczędzić na zimę. Wyszedł więc do kupca i wrócił dopiero po południu, gdyż sprzedawszy dobrze woły, za same złote pieniądze, dał się wciągnąć do karczmy, gdzie sobie podpił trochę, co mu się bardzo rzadko zdarzało.

Wszedłszy do izby, nie spostrzegł żony na łóżku, trzęsącej się we febrze, więc poszedł wprost do komory i przypatrując się złotu, którego miał sporo w garści, szeptał do siebie z uśmiechem:

— Powiedziała: wszystko się na dobre obróci; to złoto i tamto, i to, co jeszcze zarobię, wszystko dla Kachny; kobieta wyzdrowiała, trzeba myśleć o weselu.

— Co ten stary taki dziś wesół — pomyślała sołtyska i otuliwszy się w pierzynę, przycisła głową do poduszki, chcąc zasnąć koniecznie.

Wtem przeraźliwy krzyk doleciał ją z komory; podniosła głowę, a w tej samej chwili Bartłomiej wpadł do izby, blady jak trup; ręce zanurzył we włosy i wołał jak obłąkany:

— Rety, ludzie ratujcie! wszystkie pieniądze! to ten szelma! dawajcie go tu! zabiję jak psa! Kobieto, gdzie siekiera? Zabiję go, zabiję!

Sołtysce włosy powstały na głowie; zapomniawszy o chorobie, równemi nogami wyskoczyła z łóżka, rzuciła się do męża i trzymając go z całych sił, wołała:

— Bojże się Boga! stary! Co ty wyrabiasz, co ci się stało, czy cię złe opętało w tej komorze?

Na wspomnienie komory Skiba chwycił się znowu za głowę, krzycząc ochrypłym głosem:

— Wszystko moje złoto! wszystko! wszystko, wszystko!

— Co się stało z tem złotem?

— Nie ma go, nie ma, patrz! — i popchnął żonę do komory, do próżnego garnka, który leżał na ziemi, obok dość głębokiego dołu.

— O rety! — zawołała tylko sołtyska i jak mąż schwyciła się za głowę.

— Kto to zrobił?

— To to nieszczęście, co je Cyganka przepowiedziała — wrzasnął sołtys i odtrąciwszy żonę, wybiegł do izby; już otwierał drzwi do sieni i Bóg wie, coby był uczynił, gdyby właśnie nie nadbiegła Kachna. Widząc ojca jakby nieprzytomnego, chwyciła go za ręce i słodkim głosem spytała:

— Ojcze kochany, co wam to?

Stary spojrzał na córkę, ręce załamał i jęknął:

— Moja ty córuchno jedyna!

Kachna poprowadziła go do ławy, na którą upadł ciężko i zapłakał, podczas, gdy poczciwe dziewczę, klęcząc u nóg ojca, całowało jego ręce.

Sołtyska zaś strwożona bardzo, kłopocząca się więcej o męża, niż o pieniądze, opowiedziała córce, co się stało. Wtedy Kachna najczulszemi słowami jęła uspokajać i pocieszać ojca, a tak umiała mówić do serca, że oboje rodzice wzruszeni, głaskali jej kształtną główkę, a matka mówiła:

— Widzisz ojciec, Bóg miłosierny dał nam taki skarb, tego nam nikt nie ukradnie.

Ale sołtys strapiony, powtarzał raz po raz:

— Przecie to twój posag, Kachna!

— Kiedy tak, to się nie trapcie — rzekła w końcu sołtysianka — jak wyście zdrowi i mnie kochacie, to ja pieniędzy nie pragnę.

— Moje ty dzieciątko najmilsze — szepnął sołtys, lecz po chwili zerwawszy się z ławy, poszedł znowu do komory; kobiety podążyły za nim a Kachna mówiła:

— Trzeba obaczyć, którędy złodziej wszedł; okno zamknięte — ciągnęła dalej — ale tu oto wapno otarte z framugi i trochę go leży na ziemi; widocznie ktoś wchodził oknem. Tatusiu, wiedział kto, że tu pieniądze macie?

— Nikt a nikt!

Otworzyła okno i zaczęła się rozglądać po ziemi.

— O, tu czyjeś nogi znać pod krzem bzu — mówiła — i gałązki obłamane.

Sołtys wypadł na dwór i zobaczył pod oknem ślady nóg jednego człowieka, a cokolwiek dalej, jakby ich kilku było, tak ziemia była zdeptana. Ale też na tem ślady się kończyły, gdyż podwórko było brukowane.

Mimo przedstawień i perswazyi kobiet, Bartłomiej lamentował do samego wieczora nad swoją stratą i posądzał różnych ludzi o zabranie mu złota, lecz ponieważ okno było całe i zamknięte, a klucz zawsze nosił przy sobie, przeto przyszedł do przekonania, że tylko za pomocą czarów pieniądze mogły zniknąć.

Kto jednak był tym czarodziejem? Antkowi taka poczciwość patrzała z oczu i oburzenie, gdy się dowiedział o kradzieży, że sam Bartłomiej pomyślał: — to chyba nie on! — Piotrek, gdy się dowiedział, co jego gospodarza spotkało, wytrzeszczył oczy, otworzył usta i zdawał się tak zdziwiony i miał tak głupią minę, że i on o czary nie mógł być posądzony. Kiedy jednak myślał, że nikt na niego nie zważa, uderzył się w czoło, wsunął rękę do kieszeni i szepnął:

— To, to tak! Żebym ja to był wtedy wiedział, ale teraz zapóźno, co mi tam!

Antek jednak słyszał słowa Piotrka i zaczął na niego baczne mieć oko. Wnet też spostrzegł, że ma dużo pieniędzy i pilnie odwiedza karczmę.

Na drugi dzień po kradzieży, rozeszła się pogłoska, że Bartłomieja okradziono w dziwny sposób, że mu zabrano kocioł złota i srebra, że sołtys sam ciężko zachorował a żona jego wyzdrowiała, że się wszyttko spełniło, co Cyganka przepowiedziała.

I tak było w istocie. Sołtyska wskutek wielkiego przestrachu zgubiła febrę i była odtąd zupełnie zdrowa. Natomiast Skiba chorował długo z przerażenia i zmartwienia, że przeszło dwa tysiące talarów w złocie, przeznaczone na posag dla córki, poszły na marne. Pokutował on za swój upór, bo nie chciał słuchać dobrej rady ks. Proboszcza i pieniędzy oddać do kasy Towarzystwa pożyczkowego.

Kachna pielęgnowała troskliwie ojca porówno z matką, pozbyła się trochę swej zbytniej wesołości i ochoczo zastępowała sołtyskę w doglądaniu gospodarstwa. Antkowi się serce radowało a oczy śmiały, gdy patrzał na krzątającą się sołtysiankę, i coś w myśli rozważał, bo chodził parę niedziel jakby ciężko zafrasowany. Pewnej niedzieli, gdy już sołtys wyzdrowiał, wracała Kachna z Antkiem z kościoła. Dzielny parobczak widząc, że są sami, odkrząknął, poprawił kapelusz na głowie i tak przemówił:

— Kachna, posłuchaj mnie ino, bo już od dawna pasuję się z myślami a wypowiedzieć mi je trudno, żeby mnie zaś kto nie posądził o chciwość. Oto chciałem ci powiedzieć, jako od dziecka miłuję cię więcej, niż siostrę rodzoną i pragnę poślubić.

Kachna zarumieniła się jak zorza i skubiąc fartuszek, oczy na dół spuściła, czem zachęcony Antek prawił dalej:

— Biedny ja jestem sierota, wychowany z miłosierdzia przez ojców twoich, ale mam czyste sumienie i serce. Wiesz, że pracować uczyłem się od starszych i mądrzejszych albo z książek czytać lubię, a i oszczędzać potrafię; odłożyłem już sobie dwieście talarów; a mój stryj, który ma wielkie gospodarstwo, jest stary i samotny, zapisał mi dwadzieścia mórg ziemi. Nie wiele to prawda, ale przy pracy i uczciwości Bóg nam dopomoże i wyżyjemy przecie.... Kachna, moje dziewczę serdeczne, nie powiesz mi dobrego słowa?

— Ja ci Antku wcale nie jestem krzywa, ale tak być musi, jak ojcowie postanowią.

— Więc pójdziesz za tego przestrojonego jak małpa, w cudze przyodziewki Maćka? — krzyknął Antek z rozpaczą.

— Bo to nie wiesz, żem go takrok nie chciała i ledwo wymodliła u tatusia zwłokę? Więc i latoś nie chcę nijakiego Maćka. A ojciec też mówił, że stary Wojciech pewnieby nie pozwolił się ze mną Maciosiowi żenić, że już posagu nie mam wielkiego. Ale ja ojcu powiedziałam, żeby się nie turbowali, bo mnie za mąż nie pilno.

— Więc mnie też nie chcesz, Kachna?

— Ciebie... nie; jak ojcowie pozwolą... to... to...

— Moja ty duszo jedyna! — krzyknął Antek — niech ci Bóg nagrodzi, żeś niepogardziła biednym sierotą. Padnę do nóg sołtysowi, to się może ulituje nad nami i będzie z tego szczęście.

Tu zaczął Antek opowiadać Kachnie, jak to za dwóch będzie pracował, na tej drogiej, polskiej ziemi, którą kochał okrutnie; jak z czasem dokupi więcej gruntu, bo pieniędzy nie będzie zakopywał, tylko odda do kasy, gdzie mu procent zapłacą.

— Ja się też roboty nie boję i o pieniądze nie dbam, — odparła Kachna, — kto pracuje, ten z głodu nie umrze a po śmierci nic ze sobą nie weźmiemy, tylko cnoty i dobre uczynki. Ciebie Antku lubię, żeś pobożny i robotny, a nikogo nie skrzywdziłeś.

Gdy stanęli przed domem, Antek powiedział Kachnie, że jutro rozmowi się ze sołtysem.

Ale na drugi dzień Antek pojechał do stryja, który gwałtem wzywał go do siebie.

Kachna była bardzo strwożona, zwłaszcza, że przyszły nowe swaty; ludzie myśleli, że biedniejszą sołtysiankę łatwiej będzie można dostać; ale dziewczyna tak długo płakała u kolan ojca, dopóki nie przyobiecał, że jej niewolić nie będzie.

Po tygodniu Antek wrócił i udał się wprost do Bartłomiejów. Długo rozmawiał z nimi sam na sam; aż w końcu matka zawołała Kachnę, a ojciec tak do niej przemówił:

— Słuchajno dziewucho; Antek mi tu wiele naopowiadał o waszej rozmowie; prawdali to, że chcesz iść za niego?

— Tatusiu mój jedyny... złoty... kochany — szlochała Kachna u nóg ojca, który nadrabiając miną, bo go rzewliwość chwytała, podniósł córkę i rzekł:

— Podajcie sobie ręce, damy wam błogosławieństwo, a w zapusty wesele.... Masz szczęście moja córuchno — mówił dalej dawszy narzeczonym błogosławieństwo i przyciskając Kachnę do piersi — będziesz bogatą gospodynią, bo Antek to już nie biedny sierota; stryj zapisał mu całe gospodarstwo i tysiąc talarów, co je ma schowane w kasie — i westchnął biedny Skiba za swojem złotem.

— Tak; bo resztę miał stryj rozdzielić na drugiego bratanka i jego dwie siostry, ale że ci troje powędrowali do Ameryki, więc się stryj rozgniewał i powiedział tak: »Kiedy nie umieją kochać ojczyzny, toby i nie potrafili szanować ojcowizny; poszli szukać zamorskich skarbów, niech je znajdą, a ty bierz drogą, rodzinną ziemię; wiem, że ją kochasz jak matkę, więc i szanować będziesz, amen« i zapisał mi całe gospodarstwo i wszystkie pieniądze.

— Tak, tak, córuchno, Pan Bóg ci poszczęścił i wszystko się tak stało, jak przepowiedziała Cyganka: matka wyzdrowiała, nieszczęście nas spotkało wielkie, bo twój posag przepadł i ja chorowałem ciężko, ale w końcu radość mamy wielką; wszystko jakby wypisał.

— Tatusiu, nie gniewajcie się — zawołał Antek — ale mnie się widzi, że ta wróżka okłamała was i oszukała w szelmowski sposób; ja sobie postanowiłem przy pomocy Bożej...

— Nie opowiadałbyś chłopcze byle czego — zawołał rozgniewany sołtys i pięścią w stół uderzył, — ja ci powiadam, że to rzetelna kobieta i sprawiedliwie wszystko wywróżyła, to darmo. Jak tu kiedy przyjdzie, dam jej dziesięć talarów, a musi mi dokumentnie powiedzieć, kto mnie tak skrzywdził.

IV.

Po długiej i ciężkiej zimie przyszła prześliczna wiosna, rozlewać ciepło i wonie po kujawskich równinach. Kto tylko żył, a miał kawałek roli, wychodził w pole, nie szczędząc sił i potu, które tak hojnie nagradza nasza polska, ziemia matka. I dobrze się wiedzie jej dzieciom, byle tylko pracować chciały, oszczędzać i Boga chwalić.

Lecz niestety! nie wszyscy tak czynią. Ból serce ściska, gdy się pomyśli, że są jeszcze tak złe i lekkomyślne dzieci ziemi polskiej, ktore nie bojąc się Boga i pogardy ludzkiej, śmią zaprzedawać w obce ręce te kochane łany polskie, zlane tak obficie potem i krwią przodków. To wstyd i złe postępowanie!

W naszej Dąbrowie jednak, choć mieszkali ludzie z różnemi wadami i złymi nałogami, nie było żadnego Judasza.

Wszyscy też pracowali ochoczo, a sołtys Skiba ze swoją czeladką rej wiódł w skrzętności i pilności. Bartłomiej pracował po dawnemu a dzielny Antek, teraz już mąż Kachny i właściciel wielkiego gospodarstwa, ochoczo teściowi pomagał.

Jeszcze w zapusty odbyło się wesele Kachny, ale Skiba uprosił Antka, aby został przy nim do jesieni, aż Jędruś wróci. Antek nie mógł nic odmówić ojcu żony, zwłaszcza gdy i Kachna prosiła, więc został, a stary stryj, lubo z żalem pozwolił; sam się męcząc w wielkim gospodarstwie, bo ziemi jeszcze dokupił, i przy młodych postanowił zamieszkać; tak mu się Antkowie podobali, dla świętej zgody i miłości, w jakiej żyli.

Wesele i radość panowały w chacie sołtysa, bo Kachna żwawa i wesoła jak dawniej, choć już nie taka roztrzepana, krzątała się pilnie po całem gospodarstwie, doglądała wszystkiego, niosąc z sobą szczęście i uśmiechy. Ludzie się dziwili, że z tej płochej Kachny, taka się skrzętna zrobiła gosposia; ale oni nie wiedzieli, jak sołtysianka mocno kochała swego Antka, ojca i matkę, i że żaden trud dla nich nie był jej ciężki; bo miłość ma już to do siebie, że wszystko słodzi i łatwem czyni, a zacisze domowe w raj zamienia.

Od Wielkanocy przecie, zaczęli Dąbrowianie żałować Kachny, gdyż Antek zaczął wieczorami uczęszczać do karczmy.

— Patrzcie — prawili — jak dorwał się Kachny i stryj zapisał mu gospodarstwo sto pięćdziesiąt morgowe, to dopiero pokazał, co umie; biedna Kachna!

Ale Antkowa wcale się nie smuciła. Nawet pewnej soboty, kiedy ojcowie spać się pokładli, a Antek wybierał się do karczmy, sama go aż na drogę odprowadziła i żegnając uściśnieniem ręki, szepnęła:

— Niech ci Bóg dopomoże i da raz zakończyć tę sprawę, bo ty mi się nią zanadto kłopocesz, Antku kochany.

Antek wszedłszy do karczmy, zażądał piwa i wsunął się w kąt najciemniejszy. Jagna, która była sama w karczmie, bo dziaduś pojechał do miasta po nowe zapasy wódki, poskoczyła ochoczo i piwo przyniosła. Dziewczyna była zawsze dla Antka życzliwą, gotową do posługi i gawędy.

Lecz Antek nie przyszedł do karczmy pić lub próżne wieść rozmowy, obrażające Boga i szkodzące bliźniemu. Antkowi o co innego chodziło.

Martwił on się bardzo, że sołtys myśląc ustawicznie o utracie swego złota, posądzał wciąż różnych ludzi o złodziejstwo i czary; a w gusła i wróżby wierzył teraz mocniej niż dawniej. Zięć pragnął wykryć złodzieja i pokazać teściowi, że Cyganka wie tyle o przyszłości, co Bartłomiej i Antek. Domyślał on się, że sami Cyganie okradli sołtysa, a Piotrka posądzał, że albo wiedział o kradzieży, albo sam do niej należał. Wiedząc, że w karczmie najprędzej się czegoś dowie, zaczął tam chodzić wieczorami i rzeczywiście dowiedział się już, iż Piotr, gdy raz w karczmie była mowa o nieszczęściu sołtysa, zawołał po pijanemu:

— Ho, ho! wiem ja jeszcze więcej! Ale co tam, teraz już za późno. A zresztą co mnie do tego, że mój gospodarz głupi, choć sołtys.

Dalej opowiadano, że na drugi dzień po odjeździe Cyganów, zapłacił Piotr w karczmie wszystkie długi, a całe zapusty hulał i pił za gotówkę; skoro zaś pytano go, zkąd ma tyle pieniędzy, odpowiadał:

— Ja nie taki kiep, co to nic nie ma; mądry to i kraść nie potrzebuje, a złoto samo mu się sypie.

Antek chcąc wyciągnąć coś więcej z Piotra, dybał na niego już cały tydzień w karczmie, ale napróżno; gdyż parobczak, ujrzawszy przez okno młodego gospodarza, zmykał do domu.

Dziś jednak, nie widząc nikogo w izbie, wszedł do karczmy, posunął się do stołu i zawołał:

— Jagna, półkwarty wódki, a żywo! bo...

Wtem spostrzegł Antka, który z uśmiechem patrzał na niego; Piotrek zmięszał się widocznie a Antek rzekł wesoło:

— Siadaj tu przy mnie bracie, napijemy się razem — kazawszy sobie podać kieliszek, trącił z Piotrem.

Lecz ten patrzał z ukosa na swego towarzysza, bąkał pod nosem krótkie odpowiedzi i ani podobno było wyciągnąć coś z niego. A jak tylko wysączył ostatnią kroplę wódki, schwycił za kapelusz i rzekł do Jagny:

— Zapiszcie tam, com wypił, razem zapłacę.

— Nie, nie — zawołał Antek — ze mną piłeś, ja zapłacę. Ale siadajże ino jeszcze, gdzież ci to tak pilno?

— Do szewca wstąpić muszę po bóty, bo to jutro niedziela; inną razą zostanę dłużej, czemu nie! ale dziś nie mogę. Bóg wam zapłać Antoni, za poczęsne i bądźcie zdrowi.

Gdy się drzwi za Piotrem zamknęły, Jagna śmiejąc się, mówiła:

— Już się Piotrkowe państwo skończyło; teraz ino na borg pije, ale powiadam wam Antoni, od tego czasu, kiedy to tu o tem złocie sołtysowem opowiadał, aż przez całe zapusty, pieniędzy miał jak lodu.

— A kiedy to o złocie opowiadał? Wtedy, jak sołtysowi zginęło?

— Ale gdzie zaś! on już pierw wiedział, bo Skibę podpatrzył. A opowiadał, czekajcie... aha! akurat w tę niedzielę, kiedy to tu Cygan nocował.

— To u was Cygan nocował? I pierw, niż Bartłomieja okradli?

— Ano tak; w poniedziałek wszyscy przyciągnęli, ale w niedzielę po południu, przyszedł jeden Cygan i całe pół dnia leżał za piecem; niby to spał, lecz ja dobrze widziałam, jak Piotrek zaczął prawić, jakto podpatrzał sołtysa, kiedy złote pieniądze zakopywał w komorze, to wam Cygan aż szyję wyciągnął, żeby wszystko słyszeć; a ja sobie myślałam: Co też to za ciekawy drągal, ten Cygan, bo na co mu to wiedzieć, co się u nas we wsi dzieje. No, czy nie Antoni?

— To to tak! — krzyknął Antek i uderzył się pięścią w czoło, a po cichu dodał — ojciec myśleli, że o ich złocie nikt nie wie, a tu Cyganie i cała wieś wiedziała, gdzie je przechowuje. Oj, ten Piotrek, wie on, wie coś, ale jak tu z niego wyciągnąć? — i zapłaciwszy Jagnie, zamyślony opuścił karczmę.

Na drugi dzień była niedziela; Antek był z Kachną w kościele, gdzie się dowiedział, bo ks. Proboszcz zapowiadał, że za tydzień w sąsiedniej parafii w Jabłonie, odprawi się missya.

— Kachna — zawołał Antek, gdy wyszedł z żoną z kościoła — zdaje mi się, że mam sposób na Piotrka.

Całe zaś popołudnie spędził ze sołtysem w polu, rozmawiając o czemś bardzo ważnem.

W tydzień później w sobotę, porządna bryczka Skiby, zaprzężona w dwa dzielne konie, wiozła Antka i Kachnę do Jabłonny na missyą; Piotrek powoził młodych gospodarzy.

Nie potrzebujemy mówić, ile to łask i błogosławieństw Bożych spływa na lud podczas missyi, gdyż wszyscy je znają. Niejeden grzesznik, stojący u wrót piekła, wrócił od nich do nóg Ojca niebieskiego, gdy mu wymowny kaznodzieja pokazał całą okropność tego więzienia potępionych, a łaska Boża wymodlona setkami ust, sumienie wzruszyła. Niejedno serce skamieniałe w zbrodni, rozpłynęło się we łzach pokuty. A ileż to dusz chwiejnych zostało utwierdzonych! ileż krzywd nagrodzono! z iluż nałogowych grzeszników stało się sprawiedliwych! ileż to rodzin lub sąsiadów, żyjących długie lata w nienawiści i rozterce, pogodziło się na zawsze! Tak to ta Matka nasza najmilsza, Kościół święty, czerpie pełną dłonią, ze skarbca zasług Pana Jezusa niezliczone łaski i rozlewa je hojnie na dzieci swoje.

Piotr jechał na missyą ochoczo, ale nie chęć nabożeństwa ciągnęła go. »Gdzie się tyle ludzi zbierze« myślał sobie Piotrek »to przecie znajdę kompanijkę do kieliszka« i jechał wesoły, jak szczygieł.

Zdziwił się też nie pomału widząc, że Antek nie odstępuje go na chwilę, i zamiast do karczmy, prowadzi z sobą do kościoła.

— Czy ja to dziad, żebym ciągle pod kościołem siedział — mruczał Piotr — licho nadało tego pobożnego Antka; już wolę starego; choć chciwy jak żyd, przecie się zabawić człowiekowi pozwoli, za własne pieniądze.

Ale rad czy nie rad, musiał Piotrek iść do kościoła, nie chcąc rozgniewać Antka. Pierwszy dzień słuchał kazań obojętnie, rozglądając się po kościele; ale gdy wieczorem wszystek lud padł na kolana przed Najświętszym Sakramentem, gdy wielkim głosem jął wołać o zmiłowanie do Pana, gdzieś głęboko, na samem dnie serca Piotrowego, coś się poruszyło, załkało i Piotrek nieswój wyszedł z kościoła.

Na drugi dzień postanowił schować się przed Antkiem, ale tak go jakoś coś ciągnęło ku kościołowi, że na chwilę chciał wstąpić; trafił właśnie na kazanie i wszystko słyszał, co missyonarz mówił; a tam w duszy już tak piekło, paliło, płakało, że blady, potem oblany wrócił do gospody; wieczorem był znowu na błogosławieństwie i jeszcze gorzej mu było.

Na trzeci dzień były kazania o sądzie ostatecznym i piekle; żarliwi kaznodzieje w tak prawdziwem a przerażającem świetle przedstawili tę najokropniejszą chwilę po śmierci człowieka, tak wyraźnie pokazali nieszczęście, że Piotrowi włosy stanęły na głowie, a śmiertelna trwoga opanowała serce.

Całą noc oka nie zmrużył; bezbożne życie stanęło mu wyraźnie przed oczami i prawie rozpacz go porwała.

Skoro świt, zerwał się z łożka, poszedł do kościoła i przerażony błąkał się po cmentarzu. Dopiero, gdy wysłuchał kazania o miłosierdziu Bożem, gdy misyonarz pokazał ludowi Boga, jako najlepszego, najmiłosierniejszego i najmiłościwszego Ojca, który choćby największego grzesznika nie odpycha od Siebie, ale byle tylko żałował, tuli z miłością do Swego Boskiego Serca, wtedy Piotr ryknął wielkim płaczem i bijąc się w piersi, na kolanach szedł do konfesyonału. A tam w kąciku, pod murem kościoła, modliła się żarliwie za niego Kachna; nie szło jej tak bardzo o wykrycie złodzieja, ale o zbawienie duszy nieszczęśliwego Piotra. Skoro więc ujrzała go czołgającego się z płaczem do konfesyonału, padła krzyżem i już tak pozostała do końca nabożeństwa, dziękując Bogu w pokorze za miłosierdzie okazane grzesznikowi i prosząc dla niego o wytrwanie. Takie to dobre serce miała ta wesoła Kachna.

Spowiedź Piotra trwała długo, bardzo długo, snać z całego życia się spowiadał; ale też gdy powstał z kolan i podniósł twarz spłakaną, taka na niej jaśniała wielka radość i wesele i mocne postanowienie poprawy, że każdy, kto spojrzał na Piotra wierzył, iż ten człowiek prawdziwie pojednał się z Bogiem.

Na drugi dzień przystąpił Piotr do Komunii świętej i wpisał się do bractwa wstrzemięźliwości, przysięgając Bogu, że nigdy już nie weźmie w usta ni kropli gorzałki, która go wiodła do wszystkiego złego.

W następną sobotę wrócili Antkowie do do domu a w niedzielę po Mszy św., gdy czeladź sołtysa zeszła się na obiad do kuchni, prosił Piotr swego gospodarza, aby pozwolił wszystkim przyjść do izby. Skoro zdziwieni słudzy obstąpili Bartłomieja, Piotrek rzucił mu się do nóg i rzekł:

— Odprawiłem Spowiedź świętą i mam nadzieję, że Pan Jezus odpuścił mi wszystkie me grzechy; teraz proszę was gospodarzu, darujcie mi i wy, bom was nieraz krzywdził, żeby sobie wódki kupić...

— Dobrze, już dobrze, chłopcze kochany — przerwał Skiba — wybaczam ci wszystko, coś mi złego uczynił i daruję, coś sobie przywłaszczył; nie potrzebujesz mi nic oddawać. Nie oskarżaj się też już przedemną, bom ja nie ksiądz przecie...

— O, nie; jedno jeszcze muszę powiedzieć, bo sumienie mnie dręczy, że przez moje milczenie, wy gospodarzu, niesprawiedliwie posądzacie ludzi, wierzycie w czary i wróżby a to obraza Boża. Jak wam wszystko opowiem, przekonacie się, że Cyganka was oszukała i okłamała...

— Co zaś prawisz — zawołał trochę zaperzony sołtys – gdzie tu oszukaństwo i kłamstwo? Czy to kobieta moja nie wyzdrowiała, czy mnie nieszczęście nie spotkało wielkie i czy nareszcie wszystko się dobrze nie skończyło?

— Jak Cyganie mieli nie wiedzieć, że was nieszczęście spotka, kiedy postanowili was okraść i okradli; tak toby każdy potrafił wróżyć.

— Cyganie mnie okradli?

— A jušci; Cyganka, ta wróżka, tak wszystko uszykowała, że Cygan przyszedł i pieniądze z garnka wybrał, jak swoje.

Na wspomnienie tej straty, twarz Skiby poczerwieniała, wpatrzył się bystro w Piotra i krzyknął:

— A ty zkąd wiesz tak dokumentnie o tem? gadaj mi tu zaraz.

Wszyscy obecni ścisnęli się tuż przy Piotrku a ten opowiedziawszy, jak po pijanemu wyjawił w karczmie, że sołtys ma złoto zakopane w komorze i beczką z pierzem przyciśnięte, tak prawił dalej:

— W ten dzień kiedy to Cyganka zażegnywała chorobę gospodyni i kazała iść wszystkim spać a koło domu się nie kręcić, wcale nie byłem w karczmie; więc wieczorem już mnie tak złe ciągnęło do wódki, że ani usiedzieć. Tak tedy, myślę sobie, koło domu nie pójdę, ino ze stajni prosto przez łąkę ruszę do karczmy; i tak też zrobiłem. Wypiłem parę kieliszków wódki, ale że to głowę mam mocną, nic mi nie było. Koło północy wracam do domu łąką, a tu za krzakami skrada się ktoś ku naszej zagrodzie. Chłop wysoki, taki jak Macioś Wojciechów, więc, myślę sobie, co on tu robi? Już chciałem krzyknąć na niego, ale było dość daleko, a on też wykręcił do sadu, ku drodze. Drogą pójdzie do domu, powiedziałem sobie, i poszedłem do stajni. Już leżałem w łóżku, kiedy naraz słyszę szczekanie burka; już się chciałem podnieść, ale nagle burek zaskomlał i ucichł. Oczy mi się powlókły, kiedy znowu słyszę burek ujada zawzięcie. Że to ja ciekawość mam wielką od małego, więc oblókłem się żywo i wychodzę na podwórze. Patrzę, burek doskakuje do krza, co to pod oknem do komory rośnie i szczeka, a tam się coś rusza; idę bliżej, widzę chłop z krza wyłazi. Ja go za połę, a on: »Puść mnie człowieku, bo cię co złego spotka.« Kazałem psu iść do budy i mówię: »Co tu robisz Cyganie?« bom poznał tego drągala, co to ciągle z wróżką szwargotał, jak przed karczmą stali. A Cygan powiada: »Matka moja zażegnała sołtysce chorobę a mnie to niby... kazała mieć oko na dom«... »Pewnie, żeby choroba nie uciekła?« mówię. »Nie, nie« on powiada »ino mnie puść.« »O nie, bratku« odpowiem »może ty tu jakie czary robisz, pójdź do gospodarza.« Tedy Cygan jął mnie prosić, żeby go puścić, to sobie zaraz pójdzie, że już po północy, to nie ma czego pilnować. Ja jeszcze nie chciałem, więc Cygan wcisnął mi w rękę dwa talary. »Masz« mówi »a puść mnie.« »Co mi tam dwa talary« odrzekłem, już mnie złe kusiło, żeby to najwięcej wytargować »pójdź do gospodarza.« Wtedy Cygan mówi: »Słuchaj, dam ci garść pieniędzy, ale mnie puść i nic nie mów, żeś mnie tu widział.« »Dobrze« mówię »nie powiem nic, ale daj pełną garść.« Cygan sięgnął ręką do kieszeni i garść pieniędzy wsypał mi w kapelusz. I takeśmy się rozstali. Nie wiedziałem ja wtedy, po co Cygan przyszedł, ani mi przez myśl nie przeszło, żeby was chciał okraść. Dopiero jak się wydało, że wam zginęły pieniądze, takem się domyślił, kto was skrzywdził. »Ale« myślę sobie »co ja będę gadał, żem Cygana widział? Jeszczebym pieniądze musiał oddać, bo to pewnie z tych kradzionych. Zkąd zaś Cyganie dowiedzieli się o waszem złocie, to mi dopiero Antek powiedział.

Biedny sołtys ledwo oddychał, w czasie tego opowiadania; ręce zacisnął i aż drżał cały. Tymczasem Piotr skończywszy, upadł mu znowu do nóg, mówiąc:

— Teraz już wiecie gospodarzu, wszystko; odpuście mi proszę, a ja wam wszystko odsłużę....

— Daj już pokój; głupi byłem, żem babie wierzył. Ale jak ten Cygan wszedł przez zamknięte okno?

— Ba! nie miał wnijść! — zawołał Antek — a czy to Cyganka nie wchodziła po dwa razy sama do komory? Na wieczór okno otwarła a rano zamknęła; nie dała nikomu do komory wchodzić, żeby się jak najdłużej nie wydało i na nich posądzenie nie padło, że pieniądze zabrali. Mądra to doprawdy baba, ale niech Bóg każdego broni od takiej mądrości.

— Toć pewnie i to zażegnywanie matczynej choroby było udaniem? — mówił Skiba.

— A jakżeby inaczej! Zaśby Pan Bóg takiej oszustce i złodziejce dał moc uzdrowienia — odrzekł Antek, — matka zimno zgubili, bo się bardzo przelękli, a od tego czasem zimno ginie.

— Drogo, oj drogo, zapłaciłem ja tę naukę, że czary, wróżby i zażegnywania, to głupstwo i grzech — mówił Bartłomiej. — Ucieszyłbym się jednak okrutnie, żebym tę Cygankę jeszcze raz spotkał, ale wtedy jabym jej powróżył, że dostanie sto batów, i możecie mi wierzyć, żeby się i moja wróżba spełniła.

Wszyscy się rozśmiali serdecznie, a sołtyska rzekła:

— Teraz chcesz Cygance tak szpetnie wróżyć, a niedawno umyśliłeś jej dać dziesięć talarów, żeby ino znowu przyszła i powróżyła ci! Już stary przyznaj...

— Matka, matka, dajże pokój — przerwał szybko Bartłomiej — toć to nie ładnie ze starego się natrząsać — a po chwili dodał zwracając się do czeladzi: — I wy tam przed ludźmi cicho; po co dopiero mają wiedzieć, że takiego głupiego mieli sołtysa.

— Bądźcie spokojni ojcze — zawołali obecni chórem, a że się właśnie dzwony ozwały, ruszyli wszyscy na nieszpór.

KONIEC.

WIECZOREM.

W wieczór, gdy dziecięta moje,
Odprawiają modły z matką,
Z boku od nich cicho stoję,
Z myślą i uwagą rzadką.

O! urocza to jest chwila,
Rzewnie mówi mi do duszy;
Serce tkliwi i rozmila,
I do głębi zawsze wzruszy!...

Cicho słucham po pod drzwiami,
Jak maleństwo pacierz głosi,
Jak powtarza go z minkami,
I rączęta w niebo wznosi.

Chętnie słucham, gdy matula
Powie słowo, dzieci za nią;
Widok taki mię rozczula,
Wtedy matka nie jest panią...

A gdy wszystko potem pięknie,
W miłym skończy się nastroju,
I lekuchno »Amen« dźwięknie,
Szczęśliw wchodzę do pokoju.

Tu, gdy dziatwa ulubiona,
»Dobra noc!« mi czule głosi,
W miękkie biorąc mię ramiona,
Do całusa się podnosi;

Błogość w duszy się odzywa,
Że tak dobra dziatwa hoża;
Zda się, że w tej chwili spływa
Na mnie z niebios łaska Boża.

O! gdy szczęście znaleść może,
To wśród swoich i w rodzinie,
Bo takiego nie ma w świecie...
Tu zdrój życia słodko płynie.

Józef Chmielewski.

KAROL PARNELL,

OBROŃCA LUDU IRLANDZKIEGO.

Znać swoje ojczyste dzieje, swoich bohaterów i mężów zasługi, konieczną jest rzeczą dla każdego; znać dzieje obcych i ich bohaterów a zasłużonych ludzi, rzeczą chwalebną i pożyteczną. Dla tego »Światło« podaje dziś portret Karola Parnella, zmarłego niedawno obrońcy ludu irlandzkiego, a podaje tem chętniej, że nie ma na świecie narodu, przeszłą dolą i obecnem położeniem podobniejszego do narodu polskiego, jak naród irlandzki.

W przeszłym roczniku »Światła« podaliśmy dłuższy artykuł pod tytułem: »Grzechy Anglików względem ludu irlandzkiego.« Tam można się doczytać, jak się Irlandczykom w ciągu wieków powodziło; można się przekonać, że nie było uciemiężenia, któreby na lud irlandzki z biegiem czasu nie spadło; że rząd angielski uczynił wszystko, aby Irlandczyków nietylko wynarodowić, ale zniszczyć zupełnie, zgładzić ze świata. Mimo tego prześladowania jednak Irlandya nie zginęła a Bóg w łaskawości Swej sprawił, że dziś, po całych wiekach srogich prześladowań, duch Irlandczyków żywszy, niż kiedykolwiek.

Były czasy w Irlandyi, że tylko lud, szczery lud i księża czuli się Irlandczykami. Prócz księży nie było nikogo, któryby ludowi sprzyjał; nie było inteligencyi, nie było lekarzy, adwokatów, kupców, ani przemysłowców irlandzkich. Wszyscy, którzy majątkiem lub nauką wyżej od ludu stali, zaliczali się do Anglików i obojętnie patrzeli na upadek swego ludu. Ale lud ów, widząc się zupełnie osieroconym i opuszczonym, nie oddał się rozpaczy, lecz jak ślimak, gdy mu niebezpieczeństwo grozi, do swej muszli się chowa, tak lud chował swoję wiarę i narodowość, po przodkach odziedziczoną, do serc swych; znosił mękę, cierpiał, a nie ugiął się i pozostał irlandzkim i katolickim. Anglii bowiem nie chodziło jedynie o zniszczenie Irlandczyków, jako narodu, ale także o wygubienie ich, jako wyznawców wiary katolickiej.

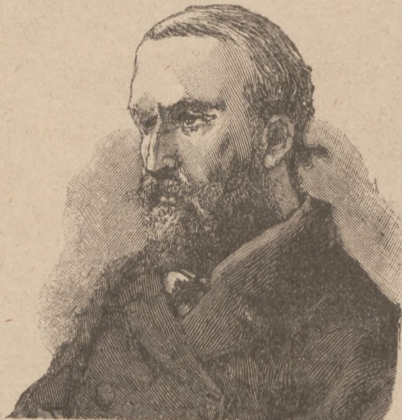
W tych wiekowych walkach i zapasach, zdawało się nieraz, że naród irlandzki, już, już zmarnowany, zniszczony, a jednak ledwie pewien czas przeszedł, jużci znowu lud irlandzki stawał do nowej walki z Anglikami. Była więc w tym ludzie niespożyta siła i moc, która mu zaginąć nie pozwoliła, a mocy tej Bóg mu dodawał, nagradzając go za wierność wierze świętej.

Z czasem też zaczęli powstawać w narodzie irlandzkim ludzie, którzy z ludu wyszedłszy, nauką rozum wyćwiczywszy, stali się przewodnikami i kierownikami swojego ludu. Dziś już w Irlandyi nie brak inteligentnych, wykształconych Irlandczyków, którzy bronić ludu potrafią, sprawie ludu dobrze służą, za lud się poświęcają, ludowi przewodzą, a gdy potrzeba, za lud umierają.

Najsławniejszym z pomiędzy tych obrońców był O'Connel, który na początku tego wieku żył i działał a w roku 1847 umarł. Każdy Irlandczyk wspomina ze czcią jego nazwisko a najprostszy człowiek w Irlandyi wie, że to był obrońca i niejako ojciec i opiekun Irlandyi.

W ostatnich lat dziesiątkach zaś zasłynął Karol Parnell, którego portret w niniejszym numerze »Światła« się znajduje.

Dziwną istotnie jest rzeczą, że Parnell, który nie był ani katolikiem, ani Irlandczykiem, stał się przywódzcą katolickiej Irlandyi. Ojciec Parnella był Anglikiem i protestantem, a syna w swojej religii wychował. Rodzice Parnella mieszkali jednak w Irlandyi, w hrabstwie Wicklow i posiadali tamże znaczne włości ziemskie. Młody Karol patrzał więc od dzieciństwa na dolę ludu irlandzkiego i w szlachetnem jego sercu zrodziła się litość nad tym biednym ludem. Im więcej rósł, tem więcej



KAROL PARNELL.

rosło i owo uczucie litości, a gdy doszedł do lat, w których rozum ludzki umie odróżnić prawo od bezprawia, prawość od bezprawości, wtedy nie już z samej litości, ale z poczucia prawa, zrobił się z niego obrońca ludu irlandzkiego. Łatwo sobie wyobrazić, jakich niesprawiedliwości Anglicy względem Irlandczyków dopuszczać się musieli, jeżeli Anglik, protestant, wychowany w duchu angielskim i protestanckim, karmiony od młodych lat nienawiścią i pogardą do ludu irlandzkiego, oburzył się na nie i za pokrzywdzonym narodem się ujął. To daje zarazem świadectwo o szlachetności jego serca, odwadze cywilnej i bezinteresowności; jako Anglik, syn bogatego pana, mógł wieść życie wygodne, pełne uciech i honorów. Parnell jednak rzucił to wszystko i oddał siebie samego i cały swój majątek w służbę narodowi irlandzkiemu, wybrał drogę ciernistą i mozolną, miasto wygodnej i przyjemnej.

Dawszy się poznać ludowi na zebraniach i w towarzystwach, został wybrany w r. 1875 posłem irlandzkim do parlamentu angielskiego. Tam się dopiero zaczęły olbrzymie prawdziwie zapasy jednego człowieka z całą Anglią. Lud irlandzki wybierał już wprawdzie wówczas posłów Irlandczyków, ale między tymi nie było nikogo, któryby się zdał na przywódzcę. Parnell był na niego jakby stworzony. Miał wielki dar wymowy; miał wielkie doświadczenie i znajomość rzeczy; rozum jego umiał wnikać prędko i głęboko w każdą sprawę i oceniać ją, jak należy; znał się doskonale na polityce, był nadzwyczajnie wytrwały, nieomal żelazny, a nigdy nie tracił nadziei, choć i w najgorszych chwilach. Wszystkie te przymioty sprawiły, że Parnell niebawem stał się posłem, którego się rząd i inni posłowie bali, a za którym posłowie irlandzcy szli, choćby w ogień. W parlamencie angielskim są rozmaite partye czyli stronnictwa. Ponieważ Irlandczycy nie mieli większości, przeto Parnell starał się łączyć z takiem stronnictwem, które przyrzekało, że Irlandyi dopomoże, gdyby do władzy przyszło. Za tem poszło, że gdy Parnell chciał, — a zawsze wtedy chciał, jeżeli to dla Irlandyi korzystnem było, — to ministerstwo zwalił. W ten sposób działając, wyciskał z rządu angielskiego zwolna różne prawa dla Irlandyi.

Nie ograniczał się jednak na działaniu tylko w parlamencie; i w Irlandyi samej czynił, co mógł, aby lud z upadku podnosić, aby go pouczać o prawach, aby go jednoczyć, czynić mocnym, oświecać. Zakładał towarzystwa, urządzał zebrania, miewał przemowy, w których zachęcał lud do pracy, zgody i jedności; młodych Irlandczyków wspierał w szkołach, umieszczał u kupców i przemysłowców, aby z czasem wyrobić dzielny stan średni w Irlandyi. Podziwienia godną jest ta praca, bo pomimo iż Parnell słabowitego był zdrowia, działał więcej, niż setki innych. Nie oszczędzał ani swojej osoby, ani swego majątku na dobro Irlandyi.

Pomiędzy wszystkiemi towarzystwami, jakie założył, jest najważniejszem tak zwana »Liga ziemska.« W Irlandyi panują takie stósunki, że cała prawie ziemia należy do bogatych panów angielskich, którzy grunta swe na małe gospodarstwa dzielą i Irlandczykom wydzierżawiają. Gdy rok dobry i płody wszelakie się obrodzą, to dzierżawca może dzierżawę opłacić, ale często się zdarza, że przyjdzie taki nieurodzaj, iż dzierżawcom niepodobna zapłacić czynszu. Wtedy nielitościwi panowie angielscy wypędzali dzierzawców z rodzinami bez miłosierdzia z dzierzaw, na pastwę biedzie i nędzy. W roku 1879 stało się to samo. Wówczas to Parnell wystąpił z planem założenia »Ligi ziemskiej,« której celem było, starać się o to, aby rząd angielski zmusił panów do sprzedania dzierżawionych gruntów irlandzkim dzierżawcom. Dzierżawców zaś upominał, aby dzierzaw nie opuszczali, a wszystkich innych, aby



Matka Sobieskich, wzór matki polskiej. (Zobacz objaśnienia rycin na str. 379.)

się nikt z Irlandczyków nie ważył zadzierżawić gruntu, z którego pan innego dzierzawcę wyrzucić kazał. Z tego wynikły wielkie rozruchy a nawet bójki między policyą a dzierzawcami. W tym samym czasie udał się Parnell do Ameryki, gdzie wielu Irlandczyków, którzy się z ojczyzny dawniej wyprowadzili, znacznego majątku doszło i zbierał składki dla Irlandczyków europejskich; zebrał 800 tysięcy marek.

Za długoby było, wyliczać wszystko, co Parnell dla Irlandyi uczynił; celem ocenienia jego zasług i pracy niech starczy to, że go tak Irlandczycy, jak Anglicy nazywali niekoronowanym królem Irlandyi. A nie władał on, jak inni królowie nieraz, tylko krajem, nie rządził za pomocą urzędników i wojska, lecz władał sercami Irlandczyków i panował dla tego, bo wszyscy wiedzieli, że zawsze i we wszystkiem dobro Irlandyi miał na oku.

Oczywistą jest rzeczą, że Anglicy nienawidzieć musieli takiego człowieka; uważali go niejako za zdrajcę Anglii. Dla tego też w rozmaity sposób starali się go zgubić. Skazywali go na karę, sadzali do więzienia, gnębili jak mogli. Przed kilku laty sfałszowano nawet listy pewnego człowieka, ażeby podać Parnella w podejrzenie, że należał do spiskowców, którzy zamordowali wysokich urzędników angielskich w Irlandyi. Parnell wykazał jednak swoję niewinność a wpływ jego i znaczenie wzrosły skutkiem tego jeszcze więcej.

Nazwisko Parnella byłoby z pewnością jaśniało tak samo w dziejach ludu irlandzkiego, jak nazwisko O'Connela, gdyby nie postępek niemoralny, którego się Parnell pod koniec swego życia dopuścił. Zgrzeszył jako człowiek przeciw siódmemu przykazaniu Bożemu i dla tego wielka część ludu irlandzkiego z księżmi na czele odwróciła się od niego i sława jego pociemniała. Ubolewać trzeba nad tem, że mąż ten, co w życiu publicznem potrafił nie zboczyć nigdy z drogi prawej, w życiu prywatnem do tego zdolnym nie był. W ślad jednak za winą, nastąpiła karę za winę, bo czyż mogła być większa kara dla takiego męża, jak stracić zaufanie ludu i być pogardzonym? Martwił się też okropnie i truł i w kilka miesięcy potem, 6 Października zmarł. Gdy leżał w malignie, rozprawiał ciągle o Irlandyi, a ostatniemi słowy jego były: »Irlandyo, moja Irlandyo!«...

Na wieść o jego śmierci cały naród irlandzki jęknął z żalu, a na pogrzeb pospieszyły liczne tysiące ludu ze wszech stron kraju. Orszak pogrzebowy był prawie na milę długi. Pochowano go w pobliżu grobu O'Connela.

Sądzono, że z jego śmiercią nastąpi zgoda między tymi, co za życia z Parnellem trzymali, a tymi, co z powodu owego niemoralnego postępku przeciw niemu byli. Ale niestety nadzieja ta się nie spełniła i prawie się zdaje, jakby nieprzyjaźń między obu stronnictwami jeszcze się zaostrzyła. Jedni drugich prześladują, jedni drugim szkodzą, a przez to powstaje coraz większa niezgoda w narodzie. Oby się jak najprędzej opamiętali, bo narodowi, w którym nie ma zgody, jedności i miłości braterskiej, nie może się dobrze powodzić, gdyż »zgoda buduje, niezgoda rujnuje.«

O RÓŻNYCH NAUKACH.

Czytaliście w »Świetle« o różnych rzeczach; czytaliście o czynach sławnych bohaterów polskich, o tem, jak się to różnymi czasy w Polsce i na Szląsku działo. Wszystko to należy do dziejów polskich czyli do historyi polskiej. W historyi polskiej jest mowa o pogańskich czasach w Polsce, o wprowadzeniu wiary chrześciańskiej, o królach polskich, o wielkich hetmanach, kanclerzach, biskupach i wszystkich, którzy się ojczyźnie zasłużyli. W historyi można się doczytać, jako na Szląsku dawniej książęta polscy z rodu Piastów panowali i jak się to stało, że się zniemczyli, a dalej że choć się książęta i panowie wynarodowili, to lud został do dziś polski i polskim chce zostać. To też historya polska jest taka ciekawa a taka piękna, że się w niej naczytać nie można.

Ale czytaliście także i o innych jeszcze rzeczach, które nie należą do historyi polskiej. Czytaliście o zwierzętach, ptakach, i t. p. Takich rzeczy uczy znowu inna nauka, a nazywa się historya naturalna. I to jest piękna nauka. Z historyi naturalnej dowiedzieć się można ciekawych rzeczy o różnych zwierzętach, o różnych roślinach i o różnych rzeczach, które są w ziemi. Z historyi naturalnej dowiedzieć się można dziwnych rzeczy o małych mrówkach, jak to rozumnie i w posłuszeństwie pracują, o pszczółkach, jak mają swoją królowę, jak sobie śliczne plasterki z garneczkami lepią, jak się dobrze rządzą, jak miód z kwiateczków zbierają. Dowiedzieć się można o różnych rybach, wielorybach, żółwiach, muszlach i innych dziwnych zwierzętach, co w morzu przebywają. Historya naturalna opowiada ciekawe rzeczy o słoniach, lwach, tygrysach, hyenach, krokodylach, strusiach, o wężach piędziesiąt łokciowych, o ślicznych maleńkich kolibrach, o papugach, małpach i o innych różnych zwierzętach, co żyją w dalekich zagranicznych krajach. Z historyi naturalnej dowie-

dzieć się można, jak kamienie żelazne kopią z ziemi, jak z nich topią żelazo, jak je kują i czyszczą za pomocą ognia, wody i ogromnych młotów; jak sól z ziemi wydobywają, jak pod Wieliczką tyle już soli wykopali, że tam pod ziemią wielkie miasto wybudować można; jak w krajach gorących ziarnka złote w rzekach łowią; jak z głębin ziemi wydobywają miedź, srebro, cynę, żywe srebro i inne kruszce. Z historyi naturalnej dowiedzieć się można, gdzie rośnie pieprz, kawa, cytryny, drzewa pomarańczowe, oliwne i drzewa mahoniowe.

Jest znowu inna nauka, która się nazywa j e o g r a f i a, a i ta jest pożyteczną nauką. Z jeografii polskiej dowiedzieć się można, gdzie leży Warszawa, Kraków, Poznań, Kalisz, Gniezno, Kruświca, Chełmno, Toruń, Gdańsk, Wrocław, Płock, Wilno, Brześć litewski, Kijów, Lwów, Bytom, gdzie »Światło« wychodzi, Opole, gdzie »Gazeta Opolska« wychodzi i Olsztyn na Warmii polskiej, gdzie znów »Gazeta Olsztyńska« lud polski poucza, Halicz; można się dowiedzieć, jak dawno już każde miasto stoi, kto je pobudował, czem się wsławiło, jak jest wielkie, ilu ma mieszkańców, co w niem jest pięknego, wspaniałego, jaki starożytny kościół albo zamek, albo pomnik którego króla polskiego lub hetmana. Dowiedzieć się można, że w Poznaniu spoczywają kości Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego, że w zamku, co stoi na górze w Poznaniu, król Przemysław kazał udusić swoją żonę Ludgardę; że w Krakowie są liczne groby królów polskich, kościół na Skałce, gdzie Bolesław Śmiały zabił św. Stanisława, że tam jest wysoka wieża Maryacka, starożytne a piękne kościoły, dzwon wielki nazwany Zygmunt, stary zamek królewski, a pod Krakowem kopiec czyli nagrobek Wandy, Krakusa i Kościuszki; że w Warszawie jest wielki posąg Jana Sobieskiego jak tratuje Turków, Kopernika sławnego astronoma, Zygmunta III, Stanisława Małachowskiego i mnóstwo innych pięknych rzeczy. Z jeografii polskiej dowiedzieć się można o lasach litewskich, o puszczy białowiezkiej, gdzie przebywają żubry, niedźwiedzie i mnóstwo pszczół, o świętej Żmudzi, o żyznej Ukrainie i Podolu, o Śląsku, jak to on dawniej wyglądał, a jak wygląda teraz, ilu Polaków dawniej w nim mieszkało, a ilu mieszka teraz; gdzie melony na polu w zagonach rosną, gdzie ziemię co 12 lat mierzwią tak jest urodzajna, gdzie tak bujne trawy rosną, że człowieka prawie z nich nie widać, gdzie są piękne stepy tak szerokie i długie, że ich okiem nie przejrzysz. O wszystkiem z jeografii polskiej dowiedzieć się można, co jest na ziemi polskiej wielkiego, ważnego, ciekawego.

Zaś z j e o g r a f i i p o w s z e c h n e j nauczyć się można: gdzie leży ziemia święta, po której chodził nasz Zbawiciel; gdzie jest Jeruzalem; gdzie jest ta wielka puszcza, po której 40 lat Żydzi chodzili; gdzie jest morze Czerwone, przez które Mojżesz cudownie lud izraelski przeprowadził, gdzie jest góra Synai, z której Bóg dał przykazania; gdzie jest starodawny Rzym, w którym teraz mieszka papież; gdzie są te gorące kraje, w których żyją słonie, strusie, krokodyle, wielbłądy; gdzie są takie kraje, w których ludzie od upałów czarne ciało mają; gdzie są Indye, w których różne najpiękniejsze kwiaty rosną i latają najśliczniejsze ptaki; gdzie mieszkają dzicy ludzie, którzy się jeszcze modlą do bożków, gdzie jest Syberya, do której cesarz rosyjski Polaków wysyła; gdzie jest stara Azya, spiekła Afryka, młoda a żyzna i bogata Ameryka; gdzie mieszka wesoły Francuz, kupiecki Anglik, dumny Hiszpan, ponury Turek. Z jeografii powszechnej dowiedzieć się można o największych w świecie miastach, o różnych obyczajach między różnemi narodami, o niezmiernych morzach, o niebotycznych górach, o górach ogniem buchających, o gorących źródłach, o potężnych rzekach i o wielu innych niepoliczonych rzeczach.

Ileż to znowu dowiedzieć się można ciekawych rzeczy z d z i e j ó w p o w s z e c h n y c h, czyli z h i s t o r y i p o w s z e c h n e j! Z tych dziejów dowiedzieć się można o najpierwszych ludziach na ziemi, o straszliwym potopie, co zalał całą ziemię, o wielkich wojownikach Cyrusie i Daryuszu, o sławnych Grekach, o mędrcu Sokratesie, o Likurgu, o Solonie, o wielkich wojownikach termopilskich, jak powstał Rzym, o Romulusie, o Scevoli, o Hanibalu, o różnych srogich cesarzach rzymskich, którzy przez trzysta lat męczyli chrześcian, rzucali ich na pożarcie drapieżnym zwierzętom, żywcem ich palili, topili, zabijali. Dowiedzieć się można, jak Pan Bóg na ukaranie tych srogich Rzymian wysłał z dalekich krajów dzikie narody, które po całej Europie wojowały, piękne miasta burzyły, ludy w niewolą zabierały. Z historyi powszechnej dowiedzieć się można, jak Turek zawojował Swiętą Ziemię, a potem wszyscy rycerze chrześciańscy szli na wojnę, żeby Turka pobić i Ziemię Swiętą odebrać. Jak żeglarz Kolumb odkrył za morzem nowy świat, wielką Amerykę; dowiedzieć się można kto wynalazł proch, kto druk. W historyi powszechnej naczytać się można o straszliwej wojnie trzydziestoletniej, potem jak król nasz Sobieski zbił Turków pod Wiedniem i obronił Niemców od niewoli tureckiej, jak w Paryżu powstała rewolucya i okropna rzeź, jak Napoleon, największy wojownik na świecie, wojował po całej Europie i t. d.

Jest znów inna nauka, nazywająca się f i z y k ą. Z fizyki można się nauczyć jak powstają mgły, deszcz, śnieg, śron, błyskawica, grzmot, co są ogniste słupy, które się czasami na niebie pokazują, co jest światło, od którego pochodzą kolory, co jest elektryczność zapalająca się w czarnych chmurach, co jest magnes, który przyciąga do siebie żelazo, co są pompy, które ciągną wodę z ziemi, co są różne śruby,

kołowroty i windy, co jest zorza poranna i wieczorna i t. d.

Jest jeszcze wiele innych nauk, o którychbym mówić nie skończył, gdybym wam o każdej z nich chciał coś powiedzieć. Powiem wam tylko jeszcze o jednej nauce, co się nazywa literatura polska.

Wszakże wiecie, że litera jest głoska. Literami czyli głoskami napisane są wszystkie księgi. To też wszystkie księgi, czyli wszystko napisane i wydrukowane, nazywa się literaturą. Każdy naród ma wiele w języku swoim ksiąg napisanych; francuzki ma różne książki francuzkie, czyli literaturę francuzką; niemiecki naród ma różne księgi niemieckie, czyli literaturę niemiecką; angielski naród ma księgi angielskie, czyli literaturę angielską. Tak każdy naród oświecony ma książki swoje czyli literaturę. I my Polacy mamy bardzo wiele ksiąg polskich, czyli bogatą literaturę. Mamy Pismo św. napisane po polsku, mamy księgi z pieśniami polskiemi, mamy księgi, w których są dzieje polskie opisane, mamy księgi o różnych naukach. Mamy księgi o jeografii, o fizyce, o historyi naturalnej, o gospodarstwie, leczeniu, o gwiazdach, o rzemiosłach i o najrozmaitszych rzeczach. Kto piękną książkę napisał i kazał wydrukować nazywa się pisarz, czyli autor.

My mamy od wieków różnych pisarzy i różne księgi. Wszystkie książki polskie nie pomieściłyby się w największem domostwie. Takie miejsce, gdzie są różne księgi zebrane, nazywa się biblioteką. Największa w Poznaniu jest biblioteka Raczyńskiego. Gdybyście weszli do tej biblioteki, tobyście się bardzo zadziwili, co tam jest książek; weszlibyście do jednego wielkiego pokoju a tu same księgi, weszlibyście do drugiego pokoju, znowu same księgi i tak w całym wielkim gmachu same prawie tylko książki. Wielkie biblioteki są po różnych miastach, po różnych klasztorach, po różnych kościołach i po różnych domach bogatych. Wiele starych a pięknych książek zaginęło w wojnach i w czasie pożarów. Niezmierną moc książek zabrał z Polski Szwed, a Moskale całe wielkie biblioteki wywieźli z kraju naszego do swego miasta Petersburga; największą bibliotekę polską, co się nazywała biblioteką Załuskich, wywieźli Moskale z Warszawy do Petersburga po rewolucyi w roku 1831.

Możecie sobie wystawić, jak wielu było polskich pisarzów, kiedy tyle ksiąg napisali. Ale też w Polsce piszą książki od ośmiu set lat. Ja wam tylko kilku wymienię sławnych pisarzów polskich, abyście i wy o nich wiedzieli; wszystkich wielkich pisarzów nie skończyłbym dziś wyliczać. Najsławniejsi pisarze polscy są: *Galus i Kadłubek*, co pisali dzieje polskie przed kilku set laty; *Jan Kochanowski*, sławny i najstarszy poeta polski, który pisał piękne wiersze z wielkiej żałości po śmierci córeczki swej Urszulki, i który napisał wiele pobożnych pieśni, jak np.: »Kto się w opiekę poda Panu swemu;« *Sebastyan Klonowicz*, także sławny stary poeta, co opisał pięknemi wierszami rzeki polskie; *Mikołaj Kopernik*, astronom, który całe życie uczył się nauki o gwiazdach i odkrył, że nie słońce obraca się około ziemi, ale ziemia obraca się około słońca; ksiądz *Jakób Wujek*, który najpierw i najpiękniej przetłómaczył pismo św. na język polski; ksiądz *Piotr Skarga*, który najpiękniejsze pisał kazania i prawdę mówił senatorom i królowi; ksiądz *Birkowski*, który prawił w Warszawie kazania o śmierci i sądzie ostatecznym, kiedy ludzie jak muchy umierali po kościołach i ulicach podczas morowego powietrza; *Mikołaj Rej*, który pierwszy pisał polskie książki; *Łukasz Górnicki*, który opisał obyczaje polskie przed 300 laty; *Szymon Syreński*, który napisał największą polską księgę o różnych ziołach i jak ich używać na lekarstwa; *Jan Pasek*, wojak, który był z Stefanem Czarnieckim na wojnach za morzem w Danii, i pięknie opisał tę wojaczkę daleką; biskup *Woronicz*, poeta polski, którego zwłoki spoczywają w Krakowie; biskup *Krasicki*, także wielki poeta polski, który między innemi rzeczami napisał:

Pytał głupi mądrego: na co rozum zda się?
Mądry milczał; gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

O innym głupim, który mądrego przegadał, tak Krasicki napisał:

Wiesz dla czego dzwon głośny?
Bo wewnątrz jest próżny.

Franciszek Karpiński, także poeta, ułożył znaną wam pieśń poranną: »Kiedy ranne wstają zorze.« Już pominę dawniejszych pisarzów polskich, a wymienię kilku najsławniejszych z nowszych czasów. *Adam Mickiewicz*, który umarł roku 1855, jest najsławniejszym poetą polskim, a po nim najsławniejsi: *Krasiński, Słowacki i Zaleski*. *Lelewel* zaś opisywał dzieje Polski tak samo *Maciejowski*; różne starodawne powieści spisał *Kazimierz Wójcicki*. Piękne powieści pisał *I. J. Kraszewski*, a napisał ich więcej, aniżeli niejeden człowiek w życiu przeczytał, bo aż 500 tomów sporych. W ostatnich czasach wsławił się swemi powieściami *Henryk Siekiewicz*, który jeszcze żyje i niech żyje jak najdłużej i niech nam jeszcze więcej ładnych powieści pisze. Są jeszcze sławni pisarze polscy w Wilnie, w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu i po wielu innych miastach.

Polska literatura jest bardzo bogata i bardzo piękna. Ale nie zawsze pisano u nas książki po polsku. Najdawniejszemi czasy pisali u nas uczeni ludzie po łacinie; dopiero za królów Zygmuntów zaczęto pisać po polsku; wtenczas literatura u nas bardzo kwitła, i ztąd

nazywa się literaturą złotą albo zygmuntowską. Potem przyszły smutne czasy, i więcej jak przez sto lat, mało wychodziło dobrych książek polskich. Ale od stu lat, bardzo się znowu wzmaga literatura nasza, a książki polskie drukują się po wszystkich wielkich miastach.

Św. Franciszek Ksawery, wyznawca i apostół Indyan.

(3-go Grudnia).

W wieku XVI zaczęli opuszczać wiarę świętą rzymsko-katolicką Niemcy, Anglicy, Duńczycy, Szwedzi. W miejsce ich powołał Pan Bóg narody pogańskie do religii rzymsko-katolickiej, posyłając do nich swoich misyonarzy, którzy, jak niegdyś Apostołowie śś., szli do nich ogłaszać ewangelią świętą. Na czele ich stanął św. Franciszek Ksawery, rodem Hiszpan. Będąc na naukach w Paryżu, zapoznał się ze św. Ignacym, którego Pan Bóg wybrał na założyciela zakonu, co miał wydać najdzielniejszych misyonarzy dla pogan. Zajęty wtenczas myślami światowemi, dla świata pracował i żył. Ale słysząc często św. Ignacego powtarzającego mu słowa Chrystusa Pana: Cóż pomoże człowiekowi, chociażby cały świat zyskał, a na duszy swej szkodę poniósł, postanowił pracować z całym zapałem na chwałę Bożą i na zbawienie swej duszy. Wiódł teraz żywot surowy, ciężką pokutę sobie zadając i nie tylko nie jadł mięsa, ale dwa lub 3 dni w tygodniu wcale nic nie jadał. Tą pokutą i wstrzemięźliwością gotował się na misye wśród pogan, do których go Pan Bóg przeznaczył. Wśród pierwszych 9 mężów, z którymi św. Ignacy założył zakon Towarzystwa Jezusowego, znalazł się i św. Franciszek. W habicie zakonnym pokazał się teraz święty Franciszek światu, i w Rzymie i w Bononii miewał kazania, uczył dzieci katechizmu i posługiwał po szpitalach. Na zalecenie św. Ignacego, który dobrze znał jego talenta i gorliwość o chwałę Bożą, wysłał go Ojciec ś., Paweł III, na misye do Indyi. Daleką i uciążliwą miał podróż przed sobą, bo w onym czasie nie było jeszcze kanału suezkiego, i chcąc do Indyi się dostać, trzeba było całą tę wielką Afrykę naokoło morzem objechać, co trwało przeszło cały rok. Przy pomocy jednakże Bożej dostał się po roku szczęśliwie do tej krainy, pięknej wprawdzie i ludnej, ale pogańskiej. Było to w Maju 1542 roku. Zaczął tu swoję misyę św. Franciszek od usługi w szpitalu, założonego w Goi przez Franciszkanów, którzy przed nim ogłaszali w Indyach ewangelią św. Posługiwał tam chorym z anielską cierpliwością i uprzejmością, pocieszając ich po chrześciańsku. Po południu chodził z dzwonkiem po ulicach miasta Goi, powołując jego dźwiękiem do siebie pogan, którym wykładał naukę chrześciańską, uczył ich śpiewać pieśni nabożnych i pacierza. Światło nauki boskiej zaczyna oświecać ciemnych pogan, i religia chrześciańska rozchodzi się szybko po Indyach. Pan Bóg błogosławi gorliwej pracy św. Franciszka i dopomaga mu w nauce darem czynienia cudów. Święty Fran-



ŚW. FRANCISZEK KSAWERY.

ciszek wskrzesza umarłych, a kiedy przemawia jednym językiem do ludów rozmaitego języka, wszyscy go rozumieją. Temi cudami zdziwieni poganie, biegną go słuchać i przyjmują wiarę chrześciańską całymi tłumami. Święty misyonarz zaś ciesząc się tym błogim owocem swej misyi, nie zna trudu, nie zna odpoczynku. Ustawicznie jest w podróży, a wszędzie wykłada katechizm, chrzci, nawiedza chorych. Utrzymują, że sam przeszło milion bałwochwalców ochrzcił.

Dowiedziawszy się, iż po za Indyami jest wielki kraj, zamieszkały przez pogan, zwany Japonią, postanawia tamdotąd się udać z ewangeliią św. Przedstawiają mu, że się na śmierć niechybną narazi, ale naszego Apostoła nie mogą odwieść i najstraszniejsze niebezpieczeństwa od powziętego zamiaru. Na wszelkie uwagi to tylko odpowiadał: »Wszak dla nabycia trochę złota kupcy nie wahają się wystawiać na te same niebezpieczeństwa; miałżebym mieć mniej odwagi, kiedy idzie o pozyskanie dusz Panu Bogu?«

Kiedy wylądowali w Japonii, nowymi cudami się wsławił i pociągnął Japończyków do wiary św., którą im głosił. Wskrzesił tam dziewczynkę jednego księcia, która już 24 godziny była umarłą. Z Japonii powziął zamiar puścić się do sąsiedniego kraju Chińczyków, aby i tam założyć królestwo Chrystusowe. Ale nadeszła już chwila, w której Pan Bóg chciał mu zapłacić koroną wiekuistą jego niezmierne poświęcenie się dla chwały Bożej. Na małej wysepce, zwanej Sanczyan, zaniemógł i w nędznej chatce jednego kupca z radością wielką, która jego oblicze rozjaśniła niebieskim blaskiem, oddał Panu Bogu ducha w roku 1552. Ciało jego przez dłuższy czas pozostało nieskażone, rozsiewając naokoło przyjemną woń.

Za wzorem św. Franciszka:

1. Bądź misyonarzem swoich dzieci i domowników, sąsiadów i znajomych, oświecając ich w wierze św. i zachęcając do cnoty.

2. Weź sobie do serca te słowa Zbawcy: »Cóż pomoże człowiekowi, chociażby cały świat zyskał, a na duszy szkodę poniósł.«

ŚWIATŁO.

Gdy ciemno, światła nam potrzeba,
Więc gwiazdy świecą w wieczór z nieba;
Ciemności nocy rozpraszają,
Ztąd wszyscy wielką korzyść mają.

I nasze »Ś w i a t ł o« pięknie świeci
I promieniami jasność nieci,
O ile może, ciemność gasi . . .
Niech je czytają ludzie nasi!

O! jego promyk jasny, złoty,
Pokaże wszędzie drogę cnoty,
I z Bożą Prawdą wciąż na przedzie,
W krainę szczęścia nas powiedzie.

Z ojczystych dziejów nam odsłoni
Postaci wielkie, jak na dłoni,
Tych, co kochali mowę — wiarę,
Wspaniałe cnoty czcili stare.

I miłość ziemi swej rozsieje,
I ducha skrzepi, śląc nadzieję,
Że sprawiedliwy Bóg jest w niebie,
Co nie opuści nas w potrzebie.

Świat Boży piękny, pełen cudu,
Zjawisk pojętych źle u ludu,
To wszystko jasno, z prawdą zgodnie,
Rozjaśnią »Światła« nam pochodnie.

W powieściach z życia, poda wzory,
Jakimi trzeba kroczyć tory,
Miłości bratniej, wspólnej zgody,
I poświęcenia da dowody.

Ciekawe rzeczy nam opowie,
Dużo nowego człek się dowie;
Często zabawi i usłuży . . .
Oby też żyło jak najdłużej!

Więc kiedy »Światło« z jasnym błyskiem
Nauki, prawdy jest ogniskiem,
Spieszcie do Niego chętnie, śmiało,
Pożytku będzie ztąd nie mało!

Franciszek Marzec.

ŚLEPY ORGANISTA Z SEWILI.

LEGENDA HISZPAŃSKA.

I.

Znacie organistę Pereza? Nie znacie go pewnie, boście nie tutejsi. Jestto pobożny mąż, biedny a dobry i miłosierny. Słynie ze swej gry na organach. Z różnych stron proszono go, aby przyjął miejsce organisty w większych kościołach; sam arcybiskup nawet ofiarował mu wysoką płacę, jeżeliby został organistą przy kościele katedralnym. Ale Perez chętniejby życie dał, aniżeli się rozłączył ze swojemi ukochanemi organami. Nie ma on żadnych krewnych, tylko córkę jedyną, nie ma innej uciechy, jak swoje organy. Z nich palce jego dobywały cudne dźwięki. Perez jest ślepym od urodzenia, a mimo to zna swoje organy, jakby na nie patrzał. Na swoje kalectwo nigdy się nie skarży. Gdy go pytają, coby też dał za to, aby wzrok odzyskać, odpowiada:

— Bardzo wiele, ale nie tyle, ile może sądzicie, bo ja mam nadzieję...

— Co? Nadzieję, że wzrok odzyskacie?

— Tak jest — odpowiada Perez z uśmiechem szczęścia na twarzy — i niedługo. Kończę już siedmdziesiąt lat, jak długo jeszcze pożyję, nie wiem; ale myślę, że wkrótce ujrzę Pana Boga!

Kochany biedny człowiek! Istotnie, ujrzy on Pana Boga, bo jest pokorny, jak kamienie na drodze, po których ludzie stąpają. Mówi zawsze, że jest tylko biednym organistą, a przecie taki mistrz z niego, że dyrektor chóru kościoła katedralnego mógłby iść do niego w naukę. Ojciec jego był tu organistą i brał chłopca ślepego na chór, ile razy na organach grał. Chłopiec okazywał taką zdolność do muzyki, że gdy ojciec umarł, oddano mu posadę organisty. Jakie on ma ręce, do grania wprawne! Niech go Bóg błogosławi! Gra zawsze pięknie, ale w noc Bożego Narodzenia, gdy o północy msza św. się odprawia, wtedy gra przecudnie. Mawia on, że cały rok się cieszy na tę mszą świętą. Gdy kapłan podczas mszy świętej podniesie świętą hostyą i kielich, ach wtedy dźwięki organów brzmią tak, jak chóry anielskie!

Ale na cóż staram się opowiedzieć wam słowami, co sami dziś, o północy, usłyszeć możecie? Powiem wam tylko jeszcze, że na tę mszę św. przybywają najnakomitsi ludzie z Sewili; sam arcybiskup nawet przybywa. Gra ślepego organisty zachwyca jednak nie tylko znawców, ale nie mniej i lud prosty. Patrzcie na te tłumy, które się teraz ulicami toczą wśród śmiechu i śpiewu; ci wszyscy stają niemi, jakby skamieniali, gdy Perez dotknie się palcami organów. A w ową chwilę podniesienia taka cisza panuje w kościele, że gdyby można, to usłyszanoby śpilkę, spadającą na ziemię. W oku każdego z słuchaczy błyszczy łza, a potem westchnienia słyszy się dokoła; każdy zachwytuje powietrza, bo w czasie gry przepięknej każdy zaparł oddech w sobie...

Ale śpieszmy do kościoła, bo dzwony już ustały i msza święta pewnie się zacznie.

II.

Kościół był rzęsiście oświetlony. Promienie światła płynęły od licznych świec na ołtarzach i oświecały każdy zakątek kościoła. Światło ich padało na drogie kamienie pań, które na aksamitnych poduszkach klęczały tuż przed wielkim ołtarzem. Za niemi stali rycerze i szlachta hiszpańska w mundurach, kapiących od złota. Na piersiach ich błyszczały ordery i medale, w rękach trzymali czapki, a ten i ów położył rękę na rękojeści szabli. Stanowili oni niejako mur ochronny dla swych żon i córek przed prostym ludem, który, jako morze się kołysał aż ku samym drzwiom kościoła. Wtem szmer rozszedł się pomiędzy ludem; to arcybiskup przybył do kościoła i zasiadł na czerwonym tronie przy wielkim ołtarzu, pobłogosławiwszy lud po trzykroć.

Nadeszła godzina, w której msza św. zacząć się miała. Ale księdza nie widać, z zakrystyi nikt nie wychodzi. Rycerze zaczęli szeptać między sobą a arcybiskup posłał do zakrystyi, pytać o przyczynę opóźnienia.

— Perez zachorował, ciężko zachorował i zapewnie nie będzie mógł grać na organach, — tak brzmiała odpowiedź.

Ta wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy między ludem w kościele i zasmuciła wszystkich.

Wtem jakiś wysoki, chudy człowiek przystąpił przed tron arcybiskupa i rzekł:

— Perez jest chory, przeto nabożeństwo nie może się zacząć. Jeżeli Wasza Eminencya pozwoli, będę za niego grał na organach, bo Perez nie jest najlepszym organistą na świecie, a organy te nie będą potrzebowały po jego śmierci milczeć dla braku organisty, któryby na nich grać potrafił.

Arcybiskup skinął na znak, że się zgadza. Niektórzy z obecnych wiedzieli, że ów człowiek jest organistą, zazdrosnym i nieprzyjaznym ślepemu organiście u św. Jana i poczęli szemrać, gdy w tem rozruch się zrobił u drzwi kościoła.

— Perez, nasz mistrz kochany! — wołano a oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę.

Ślepego organistę, bladego, jak trup, niesiono w krześle, a liczne ręce podniosły się ku pomocy. Przedstawienia lekarza i córki nie zdołały Pereza przekonać, że powinien leżeć.

— Nie, nie — odpowiedział im — nie mogę umrzeć, póki na moich organach nie zagram. Ja wiem, że to po raz ostatni. I zwłaszcza dziś, w noc Bożego Narodzenia muszę jeszcze raz zagrać na nich. Dalej, nieście mnie, ja sobie tego życzę!... Ja wam rozkazuję! Chódźmy do kościoła.

Uczyniono zadość jego życzeniu. Wniesiono go na chór i posadzono na ławie przed organami. Msza św. się zaczęła.



KATEDRA W SPIRZE. (Zob. obj. rycin na str. 379.)

Przeszło już Introit, ewangelia, ofertorium i zbliżyła się owa uroczysta chwila, w której kapłan po konsekracyi podnieść miał w górę hostyą św. i kielich.

Woń dymu z kadzidła rozeszła się po kościele. Dzwonki brzmiały od ołtarza dźwięcznie. Perez dotknął klawiszy organów...

Sto dźwięków piszczałek zabrzmiało wspaniałym akordem, który długo dźwięczał i powoli cichł, jakby zamierając. Ten pierwszy dźwięk podobien był głosowi człowieka, wzniesionemu ku Niebu. Odpowiedział nań łagodny dźwięk z oddali, który zbliżał się niejako i zbliżając się rósł i potężniał, aż zabrzmiał w całej pełni przepiękną harmonią. Zdawało się, jakoby chory anielskie spuściły się z nieba na ziemię. Potem dała się słyszeć wspaniała pieśń z daleka, jakby chóry Serafinów śpiewały: tysiące hymnów brzmiało razem i łączyło się w pieśń olbrzymią, zachwycającą. A to wszystko było tylko wstępem, przejściem do zachwycającej pieśni, która unosiła się ponad tą prześliczną muzyką, jak unosi się mgła nad falami morza....

Powoli głosy anielskie zaczęły milknąć; coraz to jeden ucichł, i tylko dwa jeszcze dźwięczały, aż i te dwa spoiły się w jeden czysty, cudny, jak promień słońca, bez skazy.

W tej chwili kapłan wzniósł w górę św. hostyą...

I znowu ów jeden, drżący, cichy ton, który z chóru wspaniałego pozostał, począł rość, rozbrzmiewać, potężnieć pod palcami Pereza, aż dźwiękła wielka i wspaniała muzyka, że szyby w oknach od niej zabrzmiały. Z każdej nuty tej przedziwnej muzyki zdawał się powtarzać hymn; jedne z nich brzmiały blisko, drugie zdaleka; jedne radośnie, inne smutnie; jedne głośno, drugie ciszej. Istotnie można było powiedzieć, że w tej muzyce i wody i ptastwo i powietrze i liści i ludzie i aniołowie, niebo i ziemia wspólnie cześć śpiewały Jezusowi....

Na dole słuchacze stali jak zaczarowani; łzy toczyły się bezwiednie z ich ócz, a dusza każdego z nich wzniosła się ponad padół ziemski. Ręce kapłana drżały z wzruszenia.

Organy brzmiały jeszcze, ale łagodnymi dźwięki i cichły ceraz więcej. Wtem usłyszano przejmujący krzyk na chórze. Organy zabrzmiały dziwnie a potem ustały całkiem.

Krzyk przebudził wszystkich obecnych z zachwycenia, w jakiem pozostawali. Poczęli się cisnąć do drzwi, na chór prowadzących.

— Cóż się stało? Cóż się stało? — pytali.

— Ślepy organista Perez umarł! — brzmiała odpowiedź.

Tak było w istocie. Gdy ludzie, najbliżej drzwi stojący, na chór weszli, spostrzegli biednego organistę, pochylonego na klawiszach organów. Córka jego klęczała u jego stóp i napróżno wołała na niego drżącym głosem, płaczem przerywanym...

III.

— Dobry wieczór, pani Baltazarowa! Czy pójdziecie dziś na mszą świętą o północy?

— Pójdę, panie. Zdaje się, iż organiście od kościoła świętego Romana, owemu mrukliwemu człowiekowi, co wszystkich gani, pozwolono grać na organach, na miejscu zmarłego Pereza. Trzeba wam wiedzieć, że od czasu jego śmierci nikt nie ważył się dotknąć jego organów, nawet jego własna córka, która przecie w muzyce jest bardzo biegłą, a która po śmierci ojca do klasztoru wstąpiła. Bo któżby go zdołał zastąpić? Któżby zdołał tak przecudnie zagrać,



W BOŻE NARODZENIE.

jak on? Zakonnice klasztoru postanowiły, aby ze względu na pamięć Pereza nikt na jego organach nie grał w noc Bożego Narodzenia. A teraz przychodzi ów człowiek i chce grać. Kto mało umie, ten jest zawsze pyszny i zarozumiały. Ale patrzcie, jak się to ludzie cisną do kościoła, jakby od przeszłego roku nic się w nim nie zmieniło; ci sami rycerze, ta sama szlachta, to same oczekiwanie między słuchaczami i ten sam tłok w kościele. Ach! Gdyby zmarły Perez mógł z grobu powstać, umarłby po raz drugi ze smutku, że na jego organach taki człowiek gra. Ale patrzcie! Otóż i ów organista zarozumiały. Chódźmy. Arcybiskup już jest w kościele, więc msza święta niebawem się zacznie.

Kościół był tak samo oświetlony, jak w przeszłym roku.

Nowy organista ucałował pierścień na palcu księdza arcybiskupa, potem wszedł na chór i uderzył w klawisze. Zabrzmiała muzyka ale jakaś ostra i niemiła.

Zbliżyła się chwila podniesienia, — owa chwila uroczysta, gdy kapłan hostyą świętą podnieść miał. Zabrzmiały dźwięczne dzwonki, chmury wonnego dymu wzniosły się w powietrze i oto — przecudna muzyka na chórze się zaczęła.

Wspaniale, pełnemi dźwięki płynęły piękne tony, jak kaskada przepysznych, zachwycających harmonii.

Prawdziwie niebiańskie śpiewy zachwyciły uszy słuchaczów. Napróżno się silić, aby opisać tę piękną muzykę. Niektóre dźwięki brzmiały tak, jakby je łagodny wietrzyk z daleka przyniósł; nieraz słyszałeś znów szelest liści, łagodny, miękki, to znów szmer przedziwny, jakby leciuchny deszczyk padał. Pośród tych dźwięków wzbiła się czasem pieśń w górę, jakby się słowik odezwał. Potem znów w rosnącym akordzie zabrzmiały jakby burze i grzmoty, a potem znów wśród ucichających tonów, brzmiały dźwięczne pieśni; szły niejako od tronu Boga ku ziemi i wracały znowu z ziemi do Boga. Tego wszystkiego można się było dosłuchać w owej muzyce przepięknej, lecz wszystko jeszcze piękniejsze i wspanialsze, aniżeli się da opisać....

Organista, bardzo blady, zeszedł po mszy świętej z choru, a zewsząd cisnęli się ku niemu ludzie, aby mu dziękować za piękną grę. On nie spojrzawszy nawet na nich, podszedł ku arcybiskupowi.

— Wiecie przecie — tak rzekł arcybiskup do niego — że umyślnie dziś tu dotąd przybyłem, aby usłyszeć waszą grę. Czy chcecie oszczędzić mi tej drogi i na przyszły rok grać podczas mszy świętej w Boże Narodzenie, o północy, w kościele katedralnym?

— Na przyszły rok — odrzekł organista — chętnie będę grał w katedrze, bo za żadne pieniądze w świecie nie chciałbym jeszcze raz grać na tych organach.

— Dla czego? — spytał arcybiskup.

Organista zmięszał się nieco skutkiem tego pytania, ale wnet odrzekł:

— Bo organy te są stare i rozstrojone a gra moja nie może się na nich wydać taką, jaką istotnie jest.

IV.

Znowu upłynął rok. Przełożona klasztoru i córka zmarłego Pereza stały na chórze, w pobliżu organów i rozmawiały przyciszonym głosem. Dzwonek z wieży kościoła wzywał wiernych na mszą świętą. Dziś nie cisną się ludzie do niego, jak po inne lata; tylko małe gromadki wchodzą, po większej części mieszkańcy sąsiednich ulic.

— Nie bądźże dziecinną, moje dziecko — rzekła przełożona. — Czegóż się lękasz? Patrz, jak mało ludzi w kościele! Wszyscy poszli do katedry. Bez obawy tedy możesz dziś grać na organach. Któż cię będzie słyszał? Tylko Siostry i kilkudziesięciu wiernych prostaczków. Dla czego wzdychasz?

— Ach, ja się tak lękam — odrzekła córka Pereza.

— Dla czego?

— Ja sama nie wiem; obawiam się, że się coś nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego stanie. Wczoraj wieczorem, gdyś mi, matko przełożona powiedziała, że mam dziś grać na organach, uradowałam się z tego i udałam się na chór, aby kurz postrzepywać i wszystko przygotować. Poszłam sama; gdym otworzyła drzwi na chór, zegar uderzył na wieży właśnie godzinę, nie pamiętam już którą. Dźwięki zegaru brzmiały ponuro i smutnie, i dopóki brzmiały, nie mogłam się ruszyć z miejsca. Kościół był pusty i ciemność w nim panowała. Tam, przed wielkim ołtarzem błyszczało światło wiecznej lampy, jak gwiazdka wśród ciemnego nieba. Przy bladem świetle tej lampy, spostrzegłam j e g o! Tak jest, ojca mego ujrzałam! O! czcigodna matko, nie wątp o prawdzie mych słów. Spotrzegłam człowieka, pochylonego nad klawiszami organów i przesuwającego ręką po klawiszach. Słyszałam tony organów, straszne, okropne; każdy dźwięk zdawał mi się być jękiem, ale wszystkie te jęki łączyły się w harmonijną całość, w melodyą niezmiernie smutną. Tymczasem zegar wieżowy przestał bić, a ów człowiek ciągle naciskał klawisze. Krew ścięła się w moich żyłach, w całem ciele poczułam wielkie zimno. W tej chwili człowiek ów się odwrócił i spojrzał na mnie. Nie, nie spojrzał, bo był ślepy. To był mój ojciec!

— Uspokój się moje dziecko — odrzekła przełożona. — Oddal od siebie te strachy. Ojciec twój jest w Niebie, a ztamtąd z pewnością nie będzie cię straszył i niepokoił, zwłaszcza, gdy zabierasz się do upiększenia świętej uroczystości dzisiejszej. Bądź mężną! Spełnij

moje polecenie i idź bez trwogi na chór, bo msza święta zaraz się zacznie.

To powiedziawszy, przełożona zeszła z chóru i zasiadła na swojem miejscu między innemi Siostrami. Córka Pereza otworzyła organy, usiadła na ławie i msza święta się zaczęła.

Aż do podniesienia nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Organy brzmiały pięknymi, łagodnymi tony; córka ślepego organisty grała pięknie. Potem jednak wszyscy obecni zauważyli, że muzyka coraz piękniejsza, a w tej samej chwili krzyk dał się słyszeć z chóru.

Przełożona i zakonnice pobiegły czemprędzej na chór.

— Patrzcie! patrzcie! Tam stoi on! — zawołała córka Pereza. Oczy jej patrzały na ławkę, z której ze strachu szybko powstała. Wszyscy spojrzeli się ku miejscu wskazanemu. Przy organach nie było nikogo, ale organy brzmiały jeszcze....

V.

— Czyż wam nie powiedziałem tylekrotnie, że w tym świętym czasie dobre duchy zstępują na ziemię? Posłuchajcie mnie tylko. Wyście nie byli na mszy świętej o północy, w kościele, ale wiecie, co się stało, bo cała Sewila o tem mówi. Ksiądz arcybiskup pogniewał się na organistę i słusznie. Arcybiskup nie udał się, jak zwykle, na mszą św. do kościoła św. Jana i dla tego nie słyszał przedziwnej gry. A co usłyszał w swojej katedrze? Lichą grę, bo tak mówią wszyscy, co w katedrze byli. Organista od św. Romana, to partacz, grać nie umiejący. Ja miałem zawsze to przekonanie, że owa gra, którą słyszeliśmy przeszłego roku, nie mogła być jego grą. Do t a k i e j gry on nie zdolny. Teraz wiemy, że to Perez, ślepy organista, zstępuje w noc Bożego Narodzenia na ziemię, aby grać na s w o i c h organach na cześć Bogu...

O GIEŁDZIE.

... Hirschfeld, Wolff, Sommerfeld, Friedlaender, Meyer, Maas... i kto ich tam wszystkich zliczy, owych panów bankierów, co to, obrawszy ludzi z pieniędzy, nahulawszy się aż do przesytu, zbankrutowali i życie sobie odebrali lub za kratkami siedzą. W całych Niemczech dziś najwięcej mówią o bankach, bankierach i giełdzie, a każdy najprostszy człowiek pyta, czyli to nie ma prawa na takich oszustów, co w jasny dzień niejako ludzi łupią.

Gazety codzienne podały już bardzo wiele wiadomości o upadkach czyli, jak to z niemiecka nazywają: »krachach« bankowych i zwróciły uwagę wszystkich na tak zwaną giełdę i giełdziarzy. Nie będzie więc od rzeczy, gdy »Światło« wytłómaczy, co to jest giełda, co się w niej dzieje i jak się dzieje.

Giełda oznacza dwie rzeczy; najprzód dom, w którym się w pewnej porze dnia kupcy schodzą, aby sprawy handlowe załatwiać; powtóre czynność samą, to jest to, co się w tym domu dzieje, owo handlowanie w domu giełdy.

Po niemiecku giełda nazywa się: boerse, po francusku: bourse, po angielsku: exchange, po włosku: borsa, po holendersku: beurs. Wyraz polski powstał z niemieckiego »gilde.« Pewien mój znajomy, wielki antysemita czyli nieprzyjaciel żydów dowodzi, że wyraz »giełda« wymyślili żydzi; oni to schodzili się, aby załatwiać sprawy, gdzie chodziło o »giełd« czyli »geld.« Nie wiem, czy mój znajomy jest tak mocny w wyjaśnianiu słów, co w nieprzyjaźni do żydów, przeto nie mogę ocenić, czy jego tłómaczenie trafne; ale to pewna, że nietylko u nas, ale wszędzie żydzi najwięcej giełdą się zajmują, najwięcej »giełdu« czyli pieniędzy mają, więc kto wie, czy się w jego twierdzeniu źdźbło prawdy nie mieści. Lecz o to mniejsza.

Giełda tedy jestto dom, zwykle bardzo okazały, gdzie w pewnych godzinach kupcy miejscy się zbierają, aby handlować ze sobą. Pierwsze takie giełdy zaprowadzono w Holandyi i Belgii, a mianowicie w Brydze (Bruegge), Antwerpii i Amsterdamie, później w Londynie i Hamburgu. Stało się to w szesnastem stuleciu. Przedtem kupcy schodzili się na pewne miejsca w mieście, zwłaszcza na rogach ulic położone i tam sprawy handlowe pod gołem niebem załatwiali. Tak się działo już też w starożytnych czasach, w Rzymie. Stary ów zwyczaj odprawiania giełdy na ulicach utrzymał się jeszcze w Krakowie. Tam na rogu ulicy Grodzkiej i Rynku stawają gromady żydów w jedwabnych hałatach, kręcą pejsy i szwargocą: »handel, handel!« Opowiadają, że policya krakowska nie ma siły, aby tej giełdy zakazać i jedynie ulewny deszcz może zmusić krakowskich giełdziarzy do ustąpienia z placu.

W 18 wieku urządzono, za przykładem Holenderczyków, giełdę w Frankfurcie nad rzeką Menem i w Lipsku, później zaś jeszcze w innych wielkich miastach europejskich.

Dawne giełdy jednak różniły się znacznie od obecnych. Zanim giełdy powstały, kupiec każdy musiał szukać takich, co różne produkta i towary na sprzedaż mieli, kupował od nich i jedną ręką kładł na stół pieniądze, drugą brał towar. Na giełdach zakupowano towary naprzód; zamawiano je naprzód; sprzedający zobowiązał się dostarczyć pewną ilość towaru, na pewien oznaczony dzień, a kupujący zobowiązywał się, wziąć ten towar od

niego. O cenę zaraz się ułożyli. A to było początkiem spekulacyi, bo nieraz towar poszedł w górę w cenie lub spadł przez ten czas, zanim go odstawiono i wtedy zyskiwał lub tracił sprzedający lub kupujący.

Gdy później handel się zwiększył, gdy z dalekimi krajami zawiązano stósunki handlowe z Europą, giełda nabrała jeszcze większego znaczenia. Na giełdzie wiedziano, jaki towar i w jakiej ilości wiozą z daleka do kraju; umiano sobie obliczyć, czy przez to cena na ów towar spadnie, czy się podniesie; wiedziano, gdzie się co obrodziło, a gdzie co nie udało; jak w innych krajach i giełdach płacą; słowem znano tajemnice handlu i podług tego się stósowano, więc albo kupowano towar, albo nie kupowano.

Znaczenie giełdy jeszcze się podniosło, gdy różne państwa, nie mogąc sobie dać rady z wydatkami a potrzebując pieniędzy, zaczęły wydawać rozmaite papiery wartościowe i gdy się we świecie różne towarzystwa na akcye utworzyły. Te papiery wartościowe i te akcye stały się przedmiotem spekulacyi, jak towary i produkta.

Kupiec, chodzący na giełdę, jeżeli ma bystry rozum, wnet się nauczy poznawać, jak z tym lub owym handlem stoi. Z handlowania na giełdzie łatwo pozna, z czego może mieć zyski, w czem stan rzeczy pewny, a czego się tknąć nie można, nie chcąc stracić.

Spekulacye na papiery i akcye tak się z czasem wzmogły, że przydusiły giełdę na towary i produkta. »Papierki, papierki; kto kupi papierki?« tak brzmi dziś głównie po wielkich giełdach; w tych papierkach jest właśnie ów najlepszy »geszeft,« który wprawdzie czasami miliony przynieść, ale bardzo często też kark skręcić może. Jednakże handel na produkta i towary zbyt jest ważnym i zbyt wiele zysku przynosi, aby go giełdziarze zupełnie za drzwi wyrzucić mieli. Więc i dziś jeszcze handlują też towarami i produktami. Powstały nawet osobne, mniejsze giełdy na rozmaite towary. W Londynie jest osobna giełda dla papierów krajowych, osobna dla zagranicznych, osobna dla zboża, osobna dla węgla, osobna dla spraw żeglugi okrętowej; tę ostatnią zowią: Lloydem. W Berlinie istnieje także osobna giełda dla zboża, a nawet giełda dla mąki czyli dla piekarzy i młynarzy. W Lipsku jest giełda dla oliwy i produktów, giełda dla książek czyli księgarska. I po mniejszych miastach są giełdy; w Sztutgardzie giełda dla produktów i giełda dla wina, w Przemyślu (Prenzlau) giełda dla rzepiu, w Hagen giełda dla żelaza, w Bochum giełda dla węgla.

Do tych giełd chodzą bankierzy, kupcy, przemysłowcy, fabrykanci a nieraz też i rólnicy, a każdy z nich idzie z tym zamiarem, ażeby jak najlepiej coś kupić, albo jak najkorzystniej coś sprzedać, a broń Boże nie s tr acić, lecz zyskać, zyskać jak najwięcej. Jednakże nie każdego wpuszczą do giełdy, a przyczynę tego łatwo zrozumieć. Kto chce wejść i giełdziarskie interesa załatwiać na giełdzie, musi płacić pewien podatek i musi się wykazać, jako jest »porządnym« to jest niekaranym człowiekiem. Więc na giełdach są sami »porządni« — z wierzchu; często się jednak okazuje, że wielu z giełdziarzy wewnątrz nie bardzo jest »porządnych« jak n. p. Hirszfeld, Somerfeld i t. p. Kobiet na giełdę nie wpuszczają wcale, bo myślą, iżby z niemi wiele kłopotu było przy handlowaniu, a najwięcej przy lichych spekulacyach czyli stratach. W każdej giełdzie są t. z. starsi, którzy czuwają nad porządkiem. Ci są niejako sędziami i gospodarzami giełdy; przyjmują lub wykluczają członków, wydają przepisy, jak się na giełdzie zachowywać, baczą, aby się oszukaństwa nie działy. Do pomocy mają sekretarzy, buchhalterów, posługaczy i posłańców. Każdy, kto się wkupił, dostaje kartę, którą musi okazać, gdy potrzeba. Między giełdziarzami są też różne stopnie; jednych zowią spekulantami (po angielsku: jobbers), drugich maklerami (brokers), innych agentami czyli pośrednikami albo komisyonerami. Po prostu i zrozumiale możnaby ich wszystkich: szachrajami nazwać.

Ci ludzie tedy schodzą się codzień, aby spekulować, kupować, sprzedawać podług tego, jak wiatr wieje, a głównie schodzą się w tym celu, aby zarobić. Nikt tam oczywiście nie chce stracić, tylko wszyscy chcą zarobić.

Spekulacye te są bardzo a bardzo rozmaite. Przedewszystkiem spekulują na t. z. zwyższkę (po francusku: à la hause) i zniższkę (à la baisse). Z tą spekulacyą ma się tak: Jeden giełdziarz posiada pewną ilość wartościowych papierów; z różnych znaków domyśla się, że te papiery zaczną spadać w cenie; sprzedaje je przeto czemprędzej; spekuluje tedy na to, że te papiery spadną, a potem gdy nisko będą stały, to je znowu kupi i na tem zarobi, a więc spekuluje na »zniższkę.« Innym razem znów pozna, że pewne papiery pójdą w górę; czemprędzej tedy zakupuje ich i czeka, aż cena ich się podniesie znacznie, a gdy nadejdzie pora, w której mu się zdaje, że wyżej już nie pójdą, sprzedaje je komu innemu. Kupił tanio, sprzedał drogo, bo spekulował na podniesienie się ceny, czyli na »zwyższkę.« W obu tych razach spekulant miał zawsze coś w ręku t. j. papiery. Ale taksamo na »zwyższkę« lub »zniższkę« można spekulować, nie mając żadnych papierów w ręku. Przypuśćmy, iżby Hirszfeld nie siedział w kozie, a Somerfeld nie był się zastrzelił i obaj chcieli ze sobą »geszeft« zrobić, tedy mogli to w ten sposób uskutecznić. Hirszfeld mówi do Somerfelda: »Wiesz co, bracie? Ja się zobowięzuję dostarczyć ci na 1 Listopada 100 tysięcy rubli za cenę 2 marek za każdego rubla.« Somerfeld mógł na to odpowiedzieć: git! Tedy obaj czekają na

ów dzień 1 Listopada. Gdy termin nadszedł, przychodzą na giełdę, kłaniają się sobie i Hirszfeld mówi: »Bracie Sommerfeld; ruble dziś stoją na 1 m. 90 fen. Tyś zobowiązał się kupić odemnie ruble po 2 m., więc o 10 fen. na rublu drożej, aniżeli dzisiejszy kurs. Zapłać mi tedy za każdego rubla po 10 fen. i kwita.« Somerfeld nie byłby ani słowa powiedział, tylko byłby sięgnął do notesu, wydobył z niego pieniądze i Hirszfeldowi zapłacił 100 tysięcy razy po 10 fen. czyli 10 tysięcy marek. Hirszfeld byłby się ukłonił i gdyby był w dobrym humorze, byłby Somerfelda zaprosił na śniadanie, któreby za obu z jakie 200 marek kosztowało. Przy tej spekulacyi ani Hirszfeld ani Somerfeld nie mieli ani jednego rubla w kieszeni i tylko spekulowali na różnicę, między umówioną naprzód ceną rubla a tą ceną, po której 1 Listopada ruble sprzedawano. Gdyby ruble 1 Listopada były stały na 2 m. 10 fen., toby Sommerfeld był wygrał i byłby niezawodnie Hirszfelda na pierwsze miejsce do teatru zawiózł, bo to był bardzo wielki wielbiciel teatru, ów p. Somerfeld. Obaj zaś byli bardzo »fajni« i »porządni,« więc tylko na pierwszych miejscach siadali.

Z tego wszystkiego można się przekonać, że spekulacye na giełdzie, są jakby grą w loteryą; spekulanci ryzykują czyli liczą na dobrą gwiazdę, na przypadek i to jest najdziwniejsze, że gdy we dwóch jaki »geszeft« robią, to zawsze jeden liczy właśnie na coś przeciwnego, aniżeli drugi. Jeden myśli, że papiery pójdą w dół, drugi, że pójdą w górę.

Żaden bowiem giełdziarz nie może na pewno obliczyć, czy przy spekulacyi zarobi, czy straci a to dla tego, ponieważ nie ma mocy nad tem, co bywa przyczyną podnoszenia się lub spadania cen papierów. To zależy, zwłaszcza przy papierach, od stósunków politycznych, spółecznych, ekonomicznych tego kraju, którego papierami spekulują. Gdy się ma na wojnę, to papiery spadają, bo podczas wojny handel się zmniejsza i ustaje. Gdy pokój zapewniony, wtedy papiery idą w gorę, bo podczas pokoju handel i przemysł i wszystko kwitnie. Najdrobniejsze nieraz przyczyny wywołują podwyższkę lub spadek papierów. Przed kilku miesiącami, papiery pruskie na giełdzie berlińskiej spadły, bo rozpuszczono wieść, że cesarz niemiecki nagle zachorował.

Gdyby te przyczyny były zawsze naturalne, byłoby jeszcze pół biedy. Często jednak przemyślni a nieuczciwi giełdziarze umyślnie rozpuszczą jaką fałszywą wieść, aby spowodować spadek papierów. Tak wydarzyło się przed kilkunastu dniami we Wiedniu, gdzie rozgadano, jakoby cesarz austryacki był powiedział, że wojna za pasem. Papiery zaraz ogromnie spadły a spekulanci w kilku godzinach ogromne sumy zarobili. Nigdy tedy spekulant nie może przewidzieć, czy zarobi czy straci; spekuluje, ryzykuje, gra z losem w ślepą babkę, bo w Poznańskiem mówią, że »kto nie ryzykuje, to — w Rawiczu nie siedzi,« więc też p. Hirszfeld ryzykował i teraz siedzi, wprawdzie nie w Rawiczu, ale w berlińskiem więzieniu, zwanem Moabitem.

Niejeden Czytelnik pomyśli sobie: »Ha, kiedy ludzie mają pieniądze i chcą spekulacye robić, to niech robią i pieniądze tracą.« A w tem jest właśnie najtęższy sęk. Są prawda bankierzy, którzy sami mnogo pieniędzy mają a których »królami giełdowymi« zowią, ale więcej jest takich, co mało własnych pieniędzy mają; wszyscy zaś obracają kapitałem obcym. Na świecie żyje wielu takich, co mają pieniądze a nie są bankierami i na giełdziarskich sprawach się nie znają. Tych nieraz pieniądze w ręce świerzbią i pragną ich mieć więcej a prędko. Gdzież je niosą? Oto oddają je bankierom, aby niemi spekulowali albo też sami na własną rękę, kupują papiery, o których sądzą, że w górę pójdą. Grają przeto tak samo na giełdzie, jak bankierzy, a co gorsza muszą się jeszcze dobrze opłacać pośrednikom, to jest tym agentom giełdziarskim, którym swe pieniądze na spekulacyą oddadzą. Niejeden bankier, zwłaszcza z początku, obraca prawie wyłącznie obcemi pieniędzmi. Kto w ten sposób pieniędzy używa, ten tak samo ryzykuje, jak każdy giełdziarz. Zarabia, gdy los sprzyja, traci, gdy nie sprzyja. Nadto giełda jest niejako barometrem dla wszelkiego rodzaju interesów i spekulacyi pieniężnych. Na nią ludzie patrzą, podług niej się stósują, bo sądzą, że ci, co przy źródle siedzą, najlepiej wiedzą, kiedy jest okazya zgarniać pieniądze garściami, a kiedy trzeba chować pieniądze, które się posiada, jak najgłębiej do worka. Ponieważ tedy wpływ giełdy rozciąga się także na szersze koło publiczności, dla tego, gdy na giełdzie zajdzie jaki »krach,« to jęki boleści słychać nietylko z samej giełdy, ale i z publiczności. Tu jeden jęknie, tam drugi westchnie, ówdzie trzeci krzyknie, prawie tak samo jak w szkole, gdy nauczyciel tego lub owego z pośród gromady dzieci trzcinką przez plecy smagnie.

Papiery, jakimi na giełdzie spekulują, są rozmaite, a mianowicie: papiery państwowe to znaczy, papiery wartościowe, które jakie państwo wyda, zaciągnąwszy pożyczkę pieniężną; papiery prowincyonalne lub miejskie, które jedna prowincya lub jedno miasto wyda; papiery kolejowe, akcye banków, akcye stowarzyszeń przemysłowych, weksle, obligacye i t. p. Papiery te kupują albo zaraz za gotówkę, albo też po pewnym, bliżej oznaczonym terminie; pierwsze nazywają się interesami gotówkowymi, drugie czasowymi.

Z pomiędzy ostatnich najwięcej są dziś w modzie interesa dyferencyjne czyli interesa, przy których głównie chodzi o różnicę między ceną jakiego towaru, na którą się ułożono,

a ceną, po której ów towar w oznaczonym terminie sprzedają. Podaliśmy już wyżej na to przykład z rublami. Tak samo robią się interesa z wszelkim innym towarem n. p. ze zbożem.

Przypuśćmy tedy, że redaktor »Światła,« który roli żadnej nie posiada, zawiesi swój redaktorski zawód z rozpaczy, że »Światło« tak mało ma abonentów, na kołku i zacznie spekulować na giełdzie. I przypuśćmy, że n. p. dobry przyjaciel tegoż redaktora p. Lewicki, malarz-artysta z Pelplina, który też roli nie posiada, zrobi tak samo. Tedy po starej znajomości mógłby redaktor »Światła« powiedzieć: »Panie malarzu, chcesz pan odemnie kupić milion centnarów żyta?« Pan L. nie będzie się wcale pytał, czy redaktor tyle zboża ma, czy nie ma, tylko zapyta: A po jakiej cenie i na jaki termin? Redaktor powie: »Po 24 m. za 200 funt., na 1 Stycznia.« Zgoda, zawoła p. L. i obaj spokojnie czekają do terminu. Redaktora wcale głowa o to nie boli, zkąd milion centnarów żyta weźmie, tylko codzień zerknie do gazet, jak z żytem. Gdy 1 Stycznia nadejdzie, tedy p. L. i redaktor przychodzą i wyciągnąwszy notesy, tak sobie mówią. Redaktor: »Zobowiązałem się panu sprzedać żyto po 24 m. za 200 f., a dziś 200 f. kosztują n. p. 24 m. i 5 fen., to znaczy, że ja tracę 5 razy milion fenygów, czyli 50 tysięcy marek.« Pan L. powie na to z najspokojniejszą miną: »Prawda!« i zgarnie pieniądze, jeżeli redaktor będzie mu je mógł zapłacić. To jest przykład, jako i nie giełdziarze mogą giełdziarskie spekulacye robić. Ani p. L., ani redaktor »Swiatła« nie myślą o tem, aby iść między giełdziarzy. Pierwszy będzie malował piękne obrazy i ślicznie upiększał nasze kościoły (do czego go wszystkim serdecznie polecamy); a drugi będzie pisał »Światło« tak długo, jak Czytelników starczy i cieszyłby się bardzo, gdyby ich coraz więcej było.

Te interesa dyferencyjne kwitną teraz bardzo a bardzo, a że są bardzo hazardowne, przeto posłowie katolickiego centrum w parlamencie dopominają się o prawo, które wyraźnie powie, że o zyski z takich interesów nikt nikogo skarżyć nie może, gdy nie chce zapłacić. Jeżeli to prawo przejdzie, to interesa te wezmą w łeb, bo nikt nie będzie pewnym, czy z podobnej spekulacyi będzie miał zysk. Być tylko może, że giełdziarze wymyślą jaką nową sztukę, aby prawo obejść, bo są pod tym względem bardzo pomysłowi.

Są znów inne interesa, nazywające się premiowymi. Z tymi rzecz ma się tak: Pewien bankier zobowiązał się dostarczyć pewnej ilości papierów, po pewnej cenie w pewnym terminie. Zanim termin nadszedł, papiery te podniosły n. p. o 3 procent. Przy interesach premiowych wolno sprzedającemu ułożyć się z nabywającym, że albo mu zamiast różnicy 3, zapłaci mniej, albo że termin się przedłuży, albo że mu dostarczy papierów za mniejszą kwotę, aniżeli obiecał. Coś zawsze straci, ale mniej, aniżeli przy interesie dyferencyjnym. Nabywający czyli kupujący pozostawia mu do woli, co chce wybrać z pomiędzy powyższych trzech możliwości i zadowala się mniejszym, ale pewnym zyskiem, zwanym premią. Są jeszcze inne interesa premiowe, ale już sztuczniejsze i niebezpieczniejsze.

Na tem urywamy nasze uwagi o giełdzie, choćby o niej jeszcze strony a strony pisać można. Z Czytelników »Światła« pewnie nikt na giełdzie nie spekuluje, ani spekulować nie chce; do poznania zaś giełdy i giełdziarskich spraw, wystarczy to, cośmy napisali.

W dzisiejszych czasach materyalistycznych, gdzie można niestety powiedzieć, że pieniądz światem rządzi, ma giełda bardzo wielki wpływ na rozwój wszelkich stósunków. Oglądają się dziś na nią i królowie i rządy i wszyscy nieomal. Giełda ma wielką moc we wszystkich sprawach, — a nie zawsze ma dobre sumienie. Tedy owedy słyszy się, że giełdziarze sztucznie ceny w górę pędzą, że rozmaite rzeczy n. p. zboże, zakupią w wielkich masach i na śpichrzach trzymają, choć zboża brak w kraju; czynią to w tym celu, aby sprzedać wtedy, gdy ceny bardzo wysokie. Często nie pytają się, czy to się godzi, czy nie godzi, tylko pamiętają o swoim zysku i kieszeni. Takiemi niegodziwemi sztuczkami mogą nieraz ogromne pieniądze wybić ze wszystkich, a mianowicie z najuboższego ludu.

Wszyscy też dziś czują, że nieczystym interesom giełdowym trzeba czemprędzej zapobiedz, boć one są nieraz wyzyskiwaniem i łupieniem ludu i podkopywaniem dobrobytu ogólnego na korzyść jednostek. A co to nieraz za ludzie owe jednostki, tego dowodem Hirszfeldy, Wolfy, Somerfeldy i t. p.

Jaką moc mają wielcy giełdziarze, bankierzy, można poznać z następującej anegdoty. Pewnego razu pytał się ktoś syna Rotszylda, czy to prawda, że wojna będzie? Syn Rotszylda odrzekł na to: »Nie będzie, bo mój ojciec pieniędzy na nią nie da!«

Giełdziarzami są przedewszystkiem żydzi, bo to naród do wszelakiego handlowania bardzo sprawny. Oni też mają na świecie najwięcej pieniędzy w swoich rękach a przez to zawierają ogromny wpływ na państwa chrześciańskie. Smutną to jest rzeczą, ale prawdziwą, że niejedno państwo musi na żydów bardzo a bardzo zważać i na palcach koło nich chodzić, bo je mają w kieszeni.

U nas nie mamy giełd, ale żydów nam nie brak. Bądźmy tedy mądrzy i nie starajmy się powiększać jeszcze bogactwa żydów. Kupujmy wszystko od swoich! Bogu chwała, nie brak już nam dzisiaj kupców, przemysłowców, rzemieślników, naszych z krwi

i kości. Wspierajmy ich zawsze i wszędzie, a będzie z tego korzyść nie mała. Pieniądz nasz zostanie w naszych rękach, — majątek narodowy będzie wzrastał, stan średni będzie się wzmagał. Pieniądz zaniesiony do żyda, wpada jak w studnię; do rąk chrześciańskich nie wróci nigdy. A więc: Kupujcie od swoich!

W Boże Narodzenie.

Hosanna Bogu na wysokości!
Temu, co pośród maluczkich gości,
Jezusowi!

Przyszli ze Wschodu możni magowie,
Dali mu mirę i złotogłowie
Jak królowi!

Spłynęli z nieba biali anieli,
Śpiewali do snu w biednej pościeli
Aniołkowi!

Przyszli do niego nędzni pasterze,
Własną mu swoję niosąc wieczerzę
Nędzarzowi!

Gomółkę sera, krajankę chleba, —
Wszystko, co własna zrodziła gleba
I własna chata!

A On ich wszystkich pobłogosławił —
Wszystkich zarówno kochał i zbawił,
Bóg, Stwórca świata.

Gabryela Jasieńska.

GOŚĆ NIESPODZIEWANY.

Mieszkańcy miasta Metzu zaledwie przetarli oczy z nocnego spoczynku, nikt jeszcze ze swej siedziby nie wyjrzał, a mgła poranna walczyła z pierwszemi promieniami wschodzącego słońca, gdy stojący dla bezpieczeństwa na murach pachołek, zatrąbił po trzykroć, krótkim urywanym głosem.

Nie był to odgłos trwogi, owszem, witał on gości znakomitych i radość miastu oznajmiał. Zbudzeni jednak co tylko mieszkańcy, nie mogli sobie na razie zdać z tego sprawy. Każdy zaciekawiony wybiegał jak wstał, jedni drugich pytali, co za gość do miasta przybywa. Trąby tymczasem z murów dęły coraz głośniej, oznajmiając zbliżanie się jakiegoś niepospolitego dostojnika. Burmistrz na to hasło kazał zwoływać rajców, ławników i całą starszyznę miejską; odziewał się też sam przystojniej i klucze od bram miasta przygotował, aby wyjść naprzeciw przybywającego!

— A zaś nie zdrada jaka? — spytała go nieśmiało żona.

— Prawdziwie niewieście gadanie! — odrzekł niechętnie pan burmistrz. — Czy nie wiesz, że za rządów naszego pana, Karola Wielkiego, możemy być spokojni o wszelki napad. — I wzruszył ramionami, śpiesząc się z przygotowaniem na przyjęcie przybywających.

— A może to sam miłościwy cesarz przybywa? — ozwała się pani burmistrzowa, podając łosiowy kaftan małżonkowi.

— Co? — spytał z wielkiem zdziwieniem przedstawiciel władzy miejskiej i wpatrzywszy się ciekawie z mówiącą, stał z włożonym na jednę rękę rękawem, a drugą podniósł do góry.

— No, no! co tobie do głowy, niewiasto, przychodzi! to nieprzyjaciel... to cesarz... — powtarzał. — U niewiasty długi rozum, a krótkie włosy... tfu! długie włosy a krótki rozum chciałem powiedzieć... Hm! hm!.. a może... i niewieście uda się coś mądrego przeczuć i powiedzieć.

— Zwłaszcza, gdy idzie o dobre przedstawienie się i godność pana mego a małżonka — odrzekła kobieta.

Burmistrz pogładził żonę po twarzy a wciągnąwszy szybko kaftan, zawołał:

— Prawda, prawda, więc przygotuj prędko chleb i sól; Erko niech również będzie gotów, klucze od bram za mną przyniesie.

— Chleb i sól już dałam pachołkowi, Erko na wasze rozkazy czeka w przedsionku, a oto klucze — dodała, zdejmując je z kołka będącego tuż u wezgłowia pana burmistrza. Dostojnik miasta uśmiechnął się z zadowoleniem, a odebrawszy klucze z rąk żony, na którą przed chwilą jeszcze chciał spędzić swoje niezadowolenie, wyszedł prędko, a za nim gotowa na rozkazy drużyna.

Ulice też roiły się już od ludu; straż przyboczna pana burmistrza torowała mu drogę, a odgłos bębnów rozlegał się po najdalszych

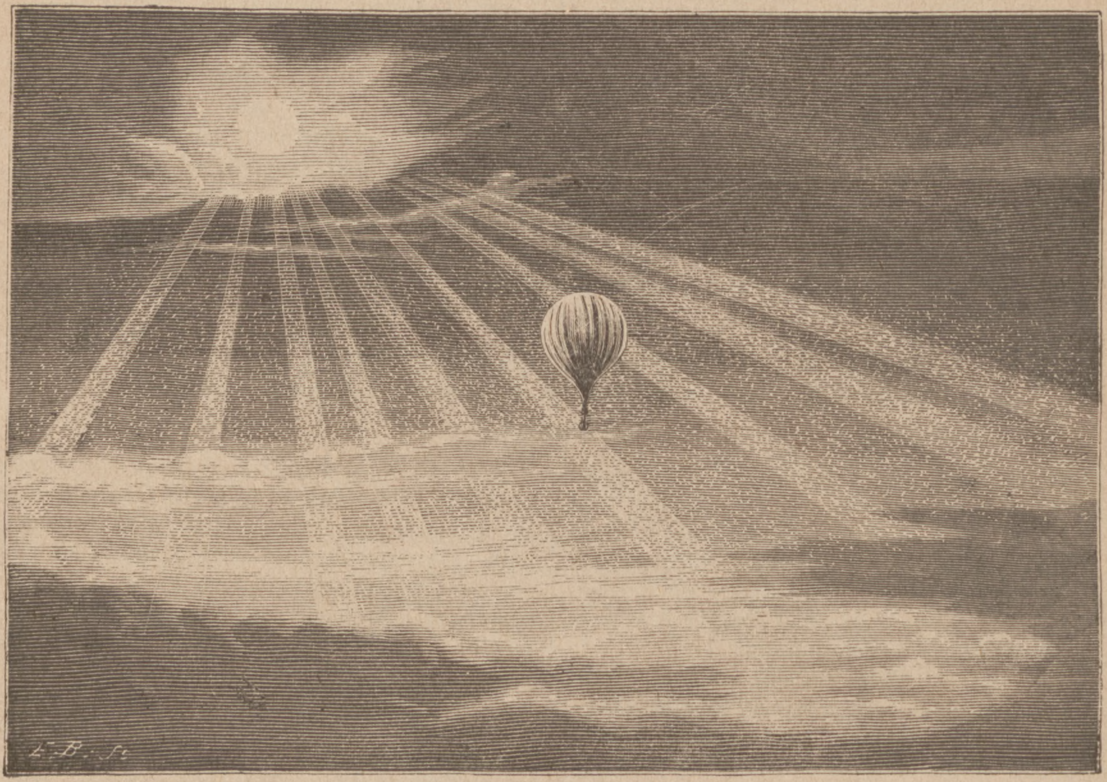
zakątkach miasta, któremu z murów wtórowały trąby, oznajmiające zbliżanie się licznego a znakomitego orszaku.

— Cesarz, niewątpliwie cesarz! — mówił w duchu burmistrz, spoglądając na wspaniały orszak biskupi, ciągnący od strzelającej w górę wspaniałemi wieżycami katedry.

Nagle z murów zadźwięczała trąba raz, krótko, potem po dwakroć w pewnych odstępach ten sam odgłos słyszeć się dawał. Ucichły bębny i szmer zbierających się tłumów, każdy podniósł głowę do góry i słuch wytężył, bo straż z murów dawała znak krótkiem trąbieniem, iż chce oznajmić, kto zacz przybywa.

Potęga cesarza była wielka ale i opieka jego sięgała w najdalsze zakątki obszernego państwa. Po niedawno odbytej koronacyi, wjeżdżał poraz pierwszy do Metzu, dla którego hojną ręką sypał zawsze swe łaski.

Skrzypnęły bramy na ciężkich wrzeciądzach, burmistrz, oblany potem z wielkiego wzruszenia i pośpiechu, przykląkł na jedno kolano, podając mu na wzorzysto utkanej poduszce klucze od miasta, kiedy tymczasem dwaj najstarsi rajcowie, na kutej ze srebra tacy, składali chleb i sól na znak, iż gotowi całem swojem mieniem przyjmować dostojnego gościa, a słońce wyjrzawszy z za mgły porannej,



CHMURY WARSTWOWE. (Zobacz objaśn. rycin na str. 380.)

rzucało pełne blasku promienie. Karol dotknął kluczy, uszczknął okruszynę chleba i zsiadłszy z konia, pieszo przekroczył bramę.

Wkrótce też rzucono z góry:

— Cesarz Karol!

— Cesarz Karol — podawano sobie z ust do ust, a radość malowała się na wszystkich twarzach, znać, że przybycie monarchy zwiastowało im nową jego opiekę i nowe nadania. Na ten odgłos dzwony z katedry się ozwały radosnem brzmieniem, trąby z murów odpowiadały przeciągłem graniem, a huk bębnów zagłuszał dzwony, trąby i okrzyki radosne ludu.

I miano się czego radować, przybywał bowiem Karol Wielki, król Franków, a przez papieża Leona III koronowany roku 800 na cesarza rzymsko-zachodniego.

Teraz przedstawiła się jego wyniosła postać w całej okazałości. Głową przenosił najwyższych wzrostem ludzi, nikt zaś nie mógł się pochwalić dłonią tak silnie rozrosłą.

Ubranie monarchy było bardzo skromne: niższa część odzienia i kaftan bawoli, nogi w prostych ciżmach, na wierzchu zaś zarzucony płaszcz biały, zielonem bramowany dokoła, na głowie czapka dość wysoka, zdobna pióropuszem, przypiętym drogim kamieniem. Lecz na prostym skórzanym pasie zwieszał się miecz wielki, ciężki, żelazny, który tylko dłoń Karola

Wielkiego udźwignąć mogła, robiąc go strasznym dla nieprzyjaciół.

Obok cesarza postępował Piotr z Pizy i Paweł Wirnefryd z Pawii, uczeni, których podczas wyprawy na Longobardów na dwór swój zabrał. Obadwaj nie odstępowali w żadnej podróży Karola Wielkiego, jako też zakonnik Alkuin, sprowadzony z Anglii i Frank Angilbert. Mieli oni obowiązek spisywać wszelkie wypadki, w wolnych zaś chwilach Karol prowadził z nimi rozmowy, kształcąc się tym sposobem na każdym kroku.

Gdy cesarz wraz ze swojem otoczeniem przeszedł bramę miejską, biskup Metzu wraz z duchownymi zastąpił mu drogę. Biskup podniósł ku górze dłonie, na znak błogosławieństwa, Karol zaś schylił kornie głowę, mówiąc:

Nikt się takiego zwrotu nie spodziewał, zrobiło się więc pewne zamięszanie wśród tłumu. Młodzież bowiem ucząca się, skorzystała z zamięszania i zamiast do szkoły, rozpierzchła się po ulicach, gapiąc się na przybywających.

Słówko jednak rzucone przez monarchę rozbiegło się lotem ptaka po najdalszych zakątkach. Usłyszał je najpierwszy dwunastoletni Denis i rozniósł między towarzyszy. Przestrach więc padł na całą młodą rzeszę.

— Karol, cesarz będzie nas egzaminował!

— Co my jemu powiemy? — wołano na wszystkie strony.

— Co, co! to samo, co nauczycielowi — ozwał się jakiś chłopiec śmielszej natury.

— Dobry sobie! — zakrzyczano go zaraz —



DWAJ PRZYJACIELE. (Zobacz objaśnienia rycin na str. 380).

— Błogosław nam sługo Boży, a dostojniku kościoła, aby Wszechmocny wszelkim zamiarom naszym łaski swej udzielił.

I zaraz dodał:

— No, a jak tam młódź pod waszym kierunkiem się sprawuje?

Biskup na razie nie zrozumiał, o co idzie, zwrócił więc wzrok pytający na Karola.

— Pytam o szkołę, wszak od lat czterech w Metzu już założona?

Biskup skłonił głowę na znak potwierdzenia.

— Prowadźcież mnie do niej, ona to głównie mnie tutaj sprowadza. Ci, co się teraz uczą, sprawować będą później urzędy duchowne i świeckie, idzie mi więc o to, co tam przybyło w ich głowie.

to samo, co nauczycielom! a przecież to nie nauczyciel, jeno cesarz! oho!

— Spojrz tylko na niego, taki wielki, aż strach!

— Możeby się skryć gdzie? — poddano myśl zbawienną.

Chłopcy młodsi i starsi zaczęli się nad tem naradzać. Ochota ich brała umknąć poza mury miasta, w najciaśniejszy zaułek ulicy lub na strych ojcowskiego domu, ciekawość jednak przemogła. Widok wspaniałej postawy Karola Wielkiego, liczny jego orszak zajmował ich umysł młodzieńczy. Ociągano się więc z ucieczką.

— Co tam kryć się, nic nie pomoże; taki wielki, to jeno okiem błyśnie a wszystko dojrzy — ozwał się znów któryś.

— I jeszcze potem ze skórą będzie robota! — dodał inny.

— Ja tam ani myślę kryć się; — rzekł wesoło Denis, ten sam, co pierwszy wieść przyniósł o egzaminie.

— Ba, ty!

— Taki mądrala!

— Taki śmiałek!

— On i przed cesarzem nie zapomni języka.

— Powiem, co umiem, a czego nie będę umiał, to się przyznam, żem zapomniał i koniec! — rzekł rezolutnie Denis.

— Hm, hm! — pomrukiwano — to też to sęk, żeby umieć.

— Ech, lepiej się schować — zawołał znów któryś, wracając do pierwszej myśli.

Lecz nie było już na to czasu, bo nauczyciel, wielebny Klemens Szkot, zwoływał młódź, a pachołkowie miejscy dopomagali mu do zebrania rozpierzchniętych.

Groźne a poważne oblicze Klemensa przywoływało młodzież do porządku, pachołkowie zgarniali mniej chętnych i opierających się w stanowczej chwili. Każdy drżał na samą myśl egzaminu przy cesarzu, nawet Denis stracił trochę odwagę i szedł teraz mniej rezolutnie niż poprzednio. Gdy jednak zasiadł na ławie szkólnej i spojrzał na nakreślone wyrazy nadedrzwiami: »Bóg na ciebie patrzy«, westchnął i jakoś nabrał otuchy.

Cesarz na krótką chwilę wszedł do kościoła; ta chwila była dobrodziejstwem tak dla Klemensa Szkota i jego pomocników, jako też i dla uczniów. Chłopcy w obszernym przy katedrze budynku siedzieli na ławach, przed każdym na pulpicie leżały tabliczki drewniane, delikatnie pociągnięte woskiem i styl, to jest patyczek dobrze zaostrzony, którym na żądanie mieli kreślić litery. Przed starszymi leżały arkusze pergaminu, nadzwyczaj delikatne style i we flaszeczkach płyn czarny lub czerwony, którego zamiast dzisiejszego atramentu używano! Takich jednak, którzyby już na pergaminie pisali, było zaledwie kilku wybranych, na arkuszu, przed nimi leżącym, znać było ślady ich pracowitości, błyszczało po kilka wierszy gotyckiemi literami nakreślonych, każdy zaś wiersz kolorową ozdobną literę miał na początku. Przed nimi na wielkim pulpicie, stojącym na środku izby, leżała olbrzymia księga, przytwierdzona ciężkiemi na klucz zamykanemi kłódkami. Były to prawa nadane przez Karola Wielkiego, które zdolniejsi uczniowie obowiązani byli przepisać, aby je po wszystkiem państwie dla rozpowszechnienia rozesłano.

Cisza zalegała teraz izbę całą, każdemu serce biło dziwnym niepokojem, spoglądano na drzwi wchodowe, niektórzy wpatrywali się w Opatrzność Boską, niekształtnie nadedrzwiami nakreśloną, gdy nagle ukazała się olbrzymia głowa monarchy.

Nie mógł on się w dość niskie drzwi zmieścić, najpierw więc ukazała się jego głowa, a bystre oczy objęły siedzących malców, jak gdyby chciał zajrzeć do wnętrza ich serca. Wreszcie całą swą wyprostowaną postacią stanął, sięgając głową do sufitu prawie.

— Witaj nam monarcho, cesarzu Karolu! — zabrzmiały głosy młodzieży na dany znak przez Klemensa Szkota.

— Witajcie mi dzieci! — odrzekł Karol, uśmiechając się łagodnie.

— A co umiecie? — zagadnął.

Cisza zaległa przez chwilę, wstrzymywano nawet oddech, zdawało się, że te wyrazy całą młodzież w kamień zaklęły.

— No, Klemensie Szkocie, co umieją wasi uczniowie? — zwrócił się Karol do nauczyciela.

— Miłościwy monarcho, oto są prace najstarszych — odrzekł tenże cichym, lecz dźwięcznym głosem, wskazując na rozpoczęte przepisywanie praw.

Karol przypatrzył się ich pracy.

— A wiecie, co przepisujecie? — zapytał.

— *Capitularii Caroli Magni**) — odrzekł zagadniony nieśmiało.

— A co one znaczą?

— Nakazują spełnianie woli monarszej.

— Co ta wola nakazuje? — pytał dalej Karol.

— Sprawiedliwość każdemu, a naród broni od wszelkiego ucisku.

Pogładził się monarcha z zadowoleniem po brodzie, znać mu się odpowiedź podobała.

— Umiesz ty pisać — zwrócił się do znanego nam już Denisa.

Chłopiec nieśmiało podał mu swoję tabliczkę z dość zgrabnie nakreślonemi gotyckiemi literami.

Karol popatrzył ciekawie na litery i na drobną rękę chłopięcia, a potem przeniósł wzrok na swą dłoń olbrzymią.

— Masz jeszcze dłoń małą, nie dźwigałeś miecza, łacno ci ją do stylu nagiąć — rzekł jakby do siebie. A potem dodał: — Napisz co zaraz. — I usiadł tuż na ławie, aż ta ugięła się pod jego ciężarem.

Denis drżąc z początku, ośmielał się jednak powoli i pisał gotyckiemi literami po łacinie:

»Karol, monarcha wielki, łaską swoją nas obdarza.«

— Ba i obdarzy! jeżeli się będziesz uczył dobrze, zrobię cię biskupem!

Potem zwrócił się do Piotra, towarzyszącego mu Pizańczyka i rzekł:

— Zapytajcie ich tam, co wiedzą o dawnych ludach.

Paweł zadawał pytania, nie wszyscy jednak na nie umieli odpowiadać. Nie każdy też mógł się swojem pismem jak Denis pochwalić.

---

*) Kapitularze Karola Wielkiego.

Karol zwrócił się do opieszałych i rzekł surowo:

— Przysięgam na Boga, zapamiętajcie to sobie, że nie będę zwracał na nic uwagi, choćbyście byli synami najznakomitszych ojców, jeżeli się nie poprawicie ze swego lenistwa, żaden z was od Karola nic nie otrzyma. — Potem zwrócił się do pilnych i roztropnych: — Pochwalam waszę gorliwość, kochane dzieci, a was obdarzę znacznemi urzędy, zawsze o was pamiętać będę i uszanuję jako ludzi znakomitych. *)

I rzeczywiście dotrzymał przyrzeczenia; ci co odznaczyli się przy owym egzaminie, zajęli potem wysokie urzędy na dworze Karola Wielkiego, a ów Denis otrzymał bogate opactwo i był biskupem w St. Denis.

*) Historyczne.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Matka Sobieskich, wzór matki polskiej. Każdemu z Czytelników znane imię Jana III czyli Jana Sobieskiego, owego bohatera, który Wiedeń od Turków ocalił. Matka jego, Teofila, była wnuczką słynnego hetmana polskiego, Żołkiewskiego, który dał życie za ojczyznę w wojnie z Turkami. Będąc pobożną, szlachetną, kraj swój gorąco miłującą niewiastą, wychowała dzieci swoje, synów Marka i Jana w pobożności i uczyła od młodości, jak kochać wiarę i ojczystą ziemię. W tym celu prowadzała ich do grobowców przodków, wielkich wodzów i opowiadała, jakimi się czyny wsławili, jak działali dla dobra współbraci, jak się poświęcali za nich i za wiarę i za ojczysty kraj. Słowa matki przyjmowały się w sercach młodych chłopiąt, a wychowanie matki uczyniło z nich ludzi wielkich, szlachetnych, zacnych, pełnych miłości dla wiary św. i poświęcenia. Marek zginął w boju z Turkami. Jan, późniejszy król polski, pomścił na nich śmierć dziadka i brata i krzywdy Polski pod Wiedniem. Odsieczą Wiednia zasłużył się też, jak rzadto kto, względem sprawy chrześciaństwa.

Matki polskie! Patrzcie na tę matkę i bierzcie ją sobie za przykład. Minęły czasy, w których matki polskie synów swoich do boju z pogaństwem zagrzewały. Dziś tego nie potrzeba, a jednak, matki polskie, patrzcie na matkę Sobieskich i naśladujcie ją! Pomyślcie, czegoby ona, gdyby dziś żyła, dzieci swoich uczyła? Uczyłaby je służyć wiernie Panu Bogu, kochać Go zawsze i wszędzie; uczyłaby je kochać gorąco swoję ziemię, swoję mowę, obyczaje i zwyczaje; uczyłaby je czytać i pisać po polsku, aby władały swoją ojczystą mową doskonale, aby miały oświatę, aby znały swoje dzieje. Więc zapatrujcie się, matki polskie, na matkę Sobieskich i pamiętajcie o dzieciach waszych, które wam Pan Bóg dał, abyście je na chwałę Bożą i pożytek narodu wychowały. Uczcie dzieci czytać i pisać po polsku, opowiadajcie im o Bogu, o dawnych dziejach, uczcie ich pieśni nabożnych i piosnek świeckich zacnych, a bądźcie pewne, że staniecie w rzędzie tych polskich matek, na których czele stoi matka Sobieskich.

A wy, dziatki polskie, spojrzyjcie na owe pacholęta na obrazku. Widzicie: ten, który stoi, to Marek Sobieski, jak on to pilnie słucha, co mu matka mówi; a ten drugi, co ukląkł i się modli, to Jan, późniejszy król. Naśladujcie ich; módlcie się do Boga i słuchajcie a czcijcie rodziców. Bądźcie skromnemi, grzecznemi, posłusznemi dziećmi; nie gniewajcie rodziców. Uczcie się kochać Boga i rodziców; gdy nauczycie się miłości do Boga i rodziców, to też pokochać musicie i mowę waszą ojczystą, bo ona od Boga pochodzi a z rodziców; pokochawszy też ziemię ojczystą, nie będziecie jej sprzedawały obcym, będziecie pilnie w niej pracowały; będziecie kochały stare zwyczaje i obyczaje polskie, — słowem będziecie tem, czem was Bóg mieć chce, to jest Katolikami i Polakami. Uczcie się chętnie po polsku, bo chluba to wielka i zaszczyt, należeć do tego narodu, na którego ze wszech stron biją, a ten naród nietylko nie upada, nietylko zniszczyć się nie da, ale coraz mocniejszym i lepszym się staje. Widzicie, tak Bóg wszystko ku dobremu na świecie kieruje; chociaż dziś wszyscy na świecie przeciw Polakom, Bóg jest za nimi i dla tego nie zginą. Na was, polskie dzieci, przyjdzie raz czas, że będziecie musiały, jak wasi rodzice teraz czynią, bronić siebie i swoje dzieci przed rozmaitemi niebezpieczeństwami. Ćwiczcie się za młodu, abyście później potrafiły. Uczcie się czytać i pisać po polsku!

Katedra w Spirze. Spir, (po niemiecku Speyr) jestto stare miasto bawarskie. Jednym z najpiękniejszych kościołów tego miasta jest katedra czyli tum, który w dzisiejszym numerze, na obrazku podajemy. Stary to kościół. Już w 11 wieku zaczęto go budować. Trzydzieści lat przeszło trwało, zanim budowę skończono. Jest zbudowany z czerwonego kamienia, ma 153 m. długości, 60 m. szerokości. Mieści w sobie grobowce ośmiu dawniejszych cesarzy niemieckich, którzy byli oczywiście katolikami. W przedsionku stoją pomniki tychże cesarzów. Wnętrze kościoła zdobią piękne malowidła. W ciągu długich lat, które tum stoi, nie obyło się bez klęsk. W roku 1159 i 1289 zniszczone zo-

stały niektóre jego części przez pożary; wielki ogień w roku 1540 zniszczył go bardzo znacznie, lecz w 18 miesięcy później odbudowano go na nowo. Największą szkodę sprawili mu jednak Francuzi w roku 1689, gdyż nietylko go spalili, ale w rozmaity sposób zbeszcześcili i na magazyn siana zamienili. Długie lata pracowano nad jego odbudowaniem. W roku 1822 poświęcono go na nowo.

Chmury warstwowe. Chmury powstają w ten sam sposób, co mgła, a więc ze skraplania się pary wodnej, zawartej w dolnych warstwach powietrza, która przybiera kształt pęcherzyków lub kulek wodnych bardzo drobnych. Chmury różnią się tem od mgły, że wyżej od niej w powietrzu wiszą. Jak wysoko chmury w powietrzu pozostają, to zależy od tego, jak wysoko sięga powietrze cieplejsze, pod wpływem którego pęcherzyki topnieją. Że chmury tak wysoko w powietrzu pływają, to się tłómaczy tem, że są bardzo lekkie, że pęcherzyki deszczowe z trudnością tylko zniżyć się mogą, ponieważ prąd powietrza z dołu im w tem przeszkadza. Rozróżniają rozmaite rodzaje chmur: 1) pierzaste, lekkie, białawe, jakby z pasa bawełny utworzone; 2) kłębiaste, podobne do narzuconych brył okrągłowych, najczęstsze w lecie; 3) warstwowe, mające wejrzenie długich pasów, jak to na obrazku widać. Formują się one zwykle wieczorem i rozchodzą się przed wschodem słońca. Rzadko tylko można widzieć te różne rodzaje chmur osobno; najczęściej rozmaite chmury mięszają się z sobą. Chmury warstwowe unoszą się najniżej nad ziemią; najwyżej zaś pierzaste. Barwa chmur jest zmienną; zazwyczaj są białawe; stają się czarnemi, gdy silniej pochłaniają promienie światła.

Dwaj przyjaciele. Dzieci często bawią się z zwierzętami domowemi. Dobre dzieci jednak przy tej zabawie nie drażnią, nie męczą czy to psa, czy kota. Nie trzeba też tego czynić, bo to nielitościwie i okrutnie.

Ale nie trzeba też przyjaźni do zwierząt posuwać tak daleko, aby je n. p. całować. To bardzo brzydko i niebezpiecznie, bo już niejeden lekarz powiedział, że to lub owo dziecko zachorowało skutkiem całowania np. pieska.

Dziewczątko na obrazku dzisiejszym ma przyjaciela psa; lubi go i bawi się z nim, ale go nie całuje.

PRAKTYCZNE RADY.

— **Zupa z białej fasoli (postna).** Z fasoli można zupełnie jak i z grochu, urządzać zupę i to tak: ugotować na cztery osoby pół kwarty fasoli — gdy miękka zupełnie, odlać wodę i przetrzeć przez durszlak, przelewając smakiem z włoszczyzny. Wziąć łyżkę masła, zasmarzyć z łyżką mąki, wrzucić trochę siekanej zielonej pietruszki, zaprawić tem zupę — dolewając zupę do masła z mąką zagotować i podać z grzaneczkami w kostkę na maśle smażonemi.

Taką samą zupę robić można na smaku z wieprzowiny, z wędzonki, lub kości wołowych.

— **Przygrzewanie rosołu.** Zdaje się, iż rosół odgrzewany nigdy dobrym być nie może, tymczasem są położenia, najczęściej przy chorych, że trzeba mieć gotowy rosół, aby go kilka razy dniem podawać — wtedy nie należy ani w garnku, ani w rondlu go odgrzewać, ale po prostu tylko go odświeżyć na gorąco. Wziąść w rondel głęboki ukropu i w ten ukrop wstawić filiżankę z rosołem, stawiając rondel na gorącej blasze — za 10 lub 15 minut najwyżej, rosół będzie odświeżony, nie odgrzany i smakować będzie jak świeży. Chcąc go zasypać kaszką, wlać tak odświeżony w gorący po wodzie rondel, postawić na fajerce i szybko kaszkę ugotować.

— **O użyciu kapusty wyrośniętej.** Zdarza się często, ku wielkiemu zmartwieniu wiejskich gospodyń, że nie wszystkie krzaczki kapusty zwiną się pod jesień w główki. Powodem tego bywa zbyt suche lato. Dotąd wybujałe krzaczki kapusty, jako nieużyteczne, służyły za paszę, obecnie doświadczenie wykazało, iż inaczej można takową zużytkować. Trzeba mianowicie przesadzić wybujałe krzaczki, strzedz ich, żeby nie zmarzły, a z pewnością przez zimę zwiną się należycie i na wiosnę wyśmienitą nam dadzą jarzynę; główki nie będą duże, ale za to delikatne i smaczne, jak kalafiory.

Przesadzenie uskutecznia się w następujący sposób: kopie się dół w miarę wysokości krzaczków głęboki, flancuje się krzaczki jeden obok drugiego i cały dół pokrywa się szczelnie deskami, następnie kilkoma warstwami słomy, lub suchych liści, a w końcu ziemią. Z dwóch brzegów przeciwległych zostawiają się małe otwory, które należy zatkać, dopiero za nadejściem silniejszych mrozów.

— **Pielęgnowanie drobiu w czasie zimy.** Trzymanie drobiu przez całą zimę w ciepłej oborze, lub ogrzewanych kurnikach, bardzo zły wpływ wywiera na ptastwo, które koniecznie dla prawidłowego rozwoju, potrzebuje świeżego powietrza. W skutek tej źle zrozumianej troskliwości niektórych hodowców, drób ulega rozmaitym chorobom, bywa trapiony przez pasożyty, a z nudów bardzo często

znoszone jaja tłucze i spożywa, co w gospodarstwie domowem dotkliwie czuć się daje; wreszcie za nadejściem wiosny kury rozdelikacone ciepłą temperaturą obory, przeziębiają się łatwo i padają w znacznej nieraz ilości. Temperatura kurników nie powinna być wysoka, parę stopni ciepła na noc zupełnie wystarcza, naturalnie nigdy nie należy dopuścić, ażeby woda zamarżała, gdyż ta ostateczność byłaby także zgubną. Pożywienie dla drobiu należy o ile możności sypać w miejscach, gdzie dochodzi świeże powietrze. Najlepiej jest przeznaczyć na ten cel miejsce zabezpieczone od wiatru i wilgoci szerokim dachem; nigdy nie należy sypać ziarna na śnieg, gdyż nic szkodliwszego nie ma dla drobiu, jak chodzenie po śniegu.

Najlepszem pożywieniem dla drobiu z rana, są ugotowane kartofle, które należy utłuc póki gorące, zmięszać z grubemi żytniemi lub pszennemi otrębami, lekko osolić i tę krupkowatą masę dawać kurom, zanim zupełnie ostygnie. Po południu posypać im pszenicy, albo jęczmienia w najlepszym gatunku, bo takie tylko ziarno jest pożywne, a w rezultacie tańsze, przyczem należy pamiętać, aby koniecznie dwa razy dziennie stawiać im w zimie letnią wodę do picia. Ziarno dawane po południu, lepiej niż inny pokarm utrzymuje pewien stopień ciepła w zwierzęciu przez czas nocy, a lekko-strawne kartofle na pusty żołądek z rana, są najwłaściwsze.

W zimie, kiedy kury nie mają sposobności wyszukiwać sobie trawek i ziół rozmaitych, trzeba koniecznie dawać im wszystkie odpadki kuchenne, a przedewszystkiem pozostałości od jarzyn.

Jeszcze należy tu wspomnieć o jednej przymieszce do pożywienia, która o ile wykazało doświadczenie, bardzo dla drobiu jest potrzebna, zwłaszcza wtenczas, kiedy żyjąc w zamknięciu, kury nie mogą wygrzebywać sobie substancyi dla organizmu niezbędnych, mianowicie wysuszone w piecu i potłuczone skorupki od jaj, wapno i żwir.

Rozmaite gatunki kur: włoskie, hamburgskie, crève-coeur i bramaputra w ten sposób pielęgnowane, powinny się doskonale chować.

— **Smołę z sukien** łatwo się wywabia, (wydostanie) jeżeli się plamy wyciera dobrym t. j. mocnym, gorącym spirytusem. Ażeby spirytus zagrzać, trzeba go wlać w jakie naczynie n. p. filiżankę i wstawić w gorącą wodę tak długo, aż się dobrze zagrzeje. W inny sposób nie można spirytusu zagrzewać, bo stawiając go wprost na ogień lub gorące miejsce zapaliłby się.

— **Chcąc słomie nadać kolor czerwony** gotuje się brazylią, dodając trochę ałunu i wody, płyn ten powinien być dosyć gęsty, wtenczas kładzie się do niego przeznaczoną do farby słomę i pozostawia tak długo, aż nie nabierze koloru czerwonego. Postawiwszy na ciepłem miejscu prędzej się farbowanie uskuteczni.

Chcąc słomie nadać kolor **niebieski,** bierze się piękne niebieskie wiory brazylii, dodając trochę ałunu, gotuje się razem, potem kładzie się w to słomę i pozostawia dłuższy czas, aby nabrała koloru.

ROZMAITOŚCI.

* **Zaślubiny u rozmaitych ludów.** Co kraj, to obyczaj; nic więc dziwnego, że ważny akt obrania dozgonnej towarzyszki życia odbywa się inaczej pod każdą niemal szerokością jeograficzną. Forma zaślubin u Cherokezów jest bodaj najprostszą ze wszystkich: Oblubieniec i oblubienica podają sobie ręce po przez strumień, będący wyobrażeniem ich życia, które odtąd ma płynąć po jednem łożysku. — W górach pomiędzy Indyami i Persyą przebywa potężne plemię, w którem widocznie prawa kobiety uznane są w pełni, albowiem dziewczęta wybierają tam same swych małżonków. Dziewica, pragnąca wstąpić w związki z pewnym młodzieńcem, posyła do niego służebną i każe mu przypiąć chustkę do kapelusza. Żaden nie ma prawa odmawiać takiemu wezwaniu, chyba, że nie posiada dostatecznych funduszów dla kupienia oblubienicy od jej ojca. — Konkury Syngalezów i Tatarów są równie dziwaczne, jak obrzęd ich zaślubin. Starający się kupuje najpiękniejszą szatę damy swego serca. Jeśli wybranka nie spodoba sobie konkurenta, ma prawo nie rostawać się ze swą suknią; lecz jeśli wpadł jej w oko, czyni to tem snadniej, iż wie, że za nadejściem zmroku paradną odzież odniesie jej sam osobiście. Nazajutrz rodzice wiążą im pierwsze palce prawej ręki. Odtąd są małżonkami.

W pewnej części Afryki narzeczona przynosi kociołek z wodą swemu ukochanemu; jeśli tenże zgadza się ją poślubić, w wodzie tej obmywa ręce, dając ją następnie do wypicia dziewczynie, na zadatek wierności.

Wśród dzikich plemion Ameryki, konkurentowi przychodzi niekiedy z wielkim trudem zdobywać swą oblubienicę. Istnieje tam zwyczaj, iż podczas obrzędu zaślubin, kapłan pogański staje na podwyższeniu, o kilkunastu metrach obwodu Naokoło tego podwyższenia odbywa się pomiędzy młodą parą coś w rodzaju naszej gry, w kotka i myszkę. Ponieważ niewiasty pod wszystkiemi szerokościami jeograficznemi są zawsze zwinniejsze w ruchach, przeto żony tych dzikich plemion zdobywane bywają dosłownie.... w pocie czoła. — Większe jeszcze trudy ponoszą młodzieńcy z wysp Filipińskich, jeśli zapragną wprowadzić do domu towarzyszkę żywota. Po wzajemnem porozumieniu się rodziców młodej pary, chłopak przez pewien czas musi pracować dla swego przyszłego teścia. Służba ta prze-

ciąga się często przez lata całe, a konkurent winien ją spełniać nadzwyczaj gorliwie, inaczej bowiem dostanie odprawę. Niesumienni ojcowie korzystają ze swoich praw, wzbogacając się często bezpłatną pracą współzawodników. Czy córki radé są tak długiemu oczekiwaniu i ciągłej zmianie oblubieńców — to już rzecz inna.

Pomiędzy Kałmukami istnieje zwyczaj, przed urodzeniem jeszcze swatać córki; mają one jednak prawo po dojściu do lat odpowiednich przyjąć lub też odrzucić wybranego przez rodziców małżonka. Obrzęd zaślubin zasadza się na tem, iż panna młoda pędzi co tchu konno, ścigana przez oblubieńca. Jeśli ten jej nie dogna, uważany jest za niegodnego jej ręki. Rzadko bardzo kałmuckie dziewczęta dają się podobno złowić inaczej jak... dobrowolnie.

W pewnych okolicach Indyj, oblubienica, oblubieniec i kapłan pogański wciągają do wody krowę z cielęciem, następnie wszystkie troje ciągną ją za ogon, podczas gdy kapłan nalewa nań wodę z miedzianego naczynia. Aktem tym młoda para związana jest na wieki. Po spełnieniu zaślubin, krowa wraz z cielęciem przechodzi na własność kapłana.

* **Początek fortuny Rotszyldów.** Po bitwie pod Jeną, Napoleon do innych zdobyczy dodał konfiskatę Elektoratu Hessen-Kassel, jako karę za dwuznaczne i zdradliwe postępowanie Elektora. Rzeczywiście, książę ten wezwany krótko przed wojną do zdeklarowania się za Prusami lub Francyą, łudził jednę i drugą stronę obietnicami, obiecując sobie przyłączyć się do zwycięzcy. Elektor, monarcha wielce chciwy, sprzedający swych poddanych Anglii na żołnierzy mających walczyć z Ameryką, nie był żałowany przez nikogo. — Zmuszony opuścić szybko Kassel dla schronienia się w Anglii, nie mógł zabrać ze sobą wszystkich swych skarbów, a uchodził za pierwszego kapitalistę w całej Europie. Przywołał tedy Rotszylda, żyda frankfurckiego, znanego ze skrupulatności religijnej, co też głównie skłoniło Elektora do powierzenia mu 5-tu milionów w gotówce. Procenta od tego kapitału miały należeć do bankiera, który obowiązany był jedynie do oddania kapitału. — Po zajęciu w Kassel pałaców elektorskich, ajenci skarbu francuzkiego zabrali znaczne tam znajdujące się rzeczy wartościowe, zwłaszcza obrazy, ale nie mogli wcale znaleźć gotówki. Zdawało się niemożliwem, iżby Elektor uciekając z pośpiechem, zabrać ze sobą zdołał skarb tak ogromny. Ponieważ według tak zwanych „praw wojennych“ kapitały i dochody z wartości, znalezione w kraju nieprzyjacielskim, należą do zwycięzcy, chciano więc wiedzieć, co się stało ze skarbem elektora. Elektor przed wyjazdem spędził dzień cały z Rotszyldem frankfurckim. Komisya więc cesarska udała się do niego i zbadała ściśle kasę jego i księgi. Ale nie znalazła i śladu żadnego depozytu. Groźbami nie osiągnięto nic, komisya przeto przekonana, iż żadne światowe względy nie zmuszą tak religijnego człowieka, jak Rotszyld, do krzywoprzysięztwa, kazała mu właśnie dla tego złożyć przysięgę. On jednak przysięgać nie chciał. Chciano go uwięzić, Napoleon jednak zabronił tego gwałtownego i bezskutecznego kroku. Wzięto się więc do sposobu niezbyt honorowego. Nie mogąc przełamać oporu bankiera, chciano go załapać nadzieją zysku. Obiecano mu połowę skarbu, jeśli drugą odda administracyi francuzkiej, któraby mu w takim razie wydała pokwitowanie „z całości,“ z dodatkiem uwagi, że oddał skarb zmuszony groźbą. Uwaga ta chroniłaby go od wszelkiej odpowiedzialności, ale uczciwość Rotszylda oparła się i tej pokusie. Zostawiono go więc w spokoju. — Piętnaście przeto milionów zostało i nadal w rękach Rotszylda, t. j. od roku 1806 aż do upadku cesarstwa w roku 1814. Skoro elektor powrócił do Kasselu, Rotszyld oddał mu cały depozyt. Można sobie wyobrazić, ile kapitał taki przyniósł procentu czy dochodu w ciągu lat ośmiu! Od tej epoki datuje się bogactwo braci Rotszyldów, którzy dzięki uczciwości swego dziada, zajęli takie stanowisko w świecie.

* **Policya w Chinach.** Chińczycy są zarazem najzręczniejszymi złodziejami i najczujniejszymi, najlepiej zorganizowanymi policyantami. Węszą zaś zbrodnie dziwnym jakimś instynktem i żaden przestępca nie zdoła umknąć chińskim łapaczom, a jestto tem trudniejsze w kraju, gdzie wszyscy prawie ludzie są do siebie podobni. Niedawno w Tonkinie wymordowaną została cała rodzina. Przez pewien czas niepodobna było wpaść na trop mordercy, policya z trzech prowincyi krzątała się energicznie, aż wreszcie po trzech tygodniach odkryto zbrodniarza; — był nim nie kto inny, jeno naczelnik tajnej policyi, który prowadził śledztwo, celem wyszukania mordercy. Zaaresztowano go i ścięto mu głowę. Policya chińska ma oko na wszystkich obywateli Państwa Niebieskiego — mężczyzn, niewiasty i dzieci, a nadto szpieguje się wzajemnie między sobą. Główny naczelnik jej jest pierwszorzędnym dostojnikiem w państwie. Ma on pod swem dowództwem 600,000 ludzi.

* **Wino z kawy.** Wyrabianie spirytusu z kawy jest rzeczą dość dawno już rozpowszechnioną. Obecnie wszakże nadchodzi z Costa Rica wiadomość, iż udało się wyrobić z kawy i wino. Właściciel jednej z większych „hacyend“ przedstawił rządowi próby wina takiego, które okazało się bardzo dobrem. Rozpoczęto tedy w tamtych okolicach, gdzie szczep winny nie rośnie, zakładać plantacye kawy, celem wyrabiania następnie wina.

* **Budynek** o 100 stóp wyższy, niż wieża Eiffla, wzniesiony ma być na placu wystawy w Chicago. Plany odpowiednie opracowało Towarzystwo „Keystone-Bridge.“

* **Strój sułtana.** Sułtan marokański, Sidi Mulej Hassan jest mnichem (mahometańscy mnisi nie są zobowiązani do bezżenności), a należy do sekty, której członkowie nie noszą koszul. Sułtan nosi więc na ciele delikatną lnianą tkaninę i takiż płaszcz. Całą garderobę przyrządzają sułtanowi jego żony, praca to jednak nie lekka, gdyż Mulej Hassan cały swój ubiór codzień darowuje żebrakowi. Często odkupują części stroju sułtańskiego od żebraków bogaci Mahometanie i używają ich jako amulety, gdyż Hassan uchodzi za świętego. Pewien francuzki kupiec dał za dwa kostjumy sułtańskie żebrakowi 300 franków.

* **Zoologiczne marki pocztowe.** Pod tym tytułem zamieszcza pismo „Le Naturaliste“ krótki artykuł, w którym autor wymienia marki pocztowe, na których znajdują się wizerunki zwierząt. Kanada pierwsza

(w roku 1851) wysłała w świat marki z bobrami, których skóra stanowi nader ważny dla niej artykuł handlu. Australia zachodnia wydała w roku 1854 po raz pierwszy marki z czarnym łabędziem, który jest w tamtych okolicach bardzo rozpowszechniony. Newfoundland w roku 1886 posiadał marki z wizerunkiem stokfisza, mającego dla kraju pod względem ekonomicznym tak ważne znaczenie, inne z wyobrażeniem foki, a inne jeszcze z łbem psa newfoundlandzkiego. W tym samym roku ukazały się marki peruwjańskie z lamą. Nowa południowa Walja wydała w roku 1888 na uczczenie setnej rocznicy założenia kolonii, marki szylingowe z kangurem i t. p.

* **Król hiszpański.** Alfons XIII. podróżował niedawno po kraju w towarzystwie królowej rejentki. Wszędzie przyjmowano 'go z entuzjazmem, a rada miejska w Burgos ofiarowała mu kucyka, którego król nazwał „Bucefalos", na wzór rumaka, na którym niegdyś Aleksander Wielki perskie obalał zastępy. Owemu Bucefalosowi dał mały król tyle cukierków, że aż mu zepsuł żołądek i trzeba było sprowadzać konowała. Podczas powrotu do Madrytu, na stacyi Medina de Campo, do otwartego okna zbliżył się miejscowy proboszcz, podał Alfonsowi poświęcony medalik i powiedział: „Mały ojcze kraju, zachowaj ten medalik i nie zapomnij, że to ja ci dałem." „Ojciec kraju" wychylił się przez okno, a rozczulony proboszcz pocałował go w czoło; naówczas Alfons XIII. zawołał: „Ty ksiądz, czy mam dać pół pocałunku mojej mamie?" Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale Alfons XIII niezmięszany bynajmniej „podzielił się" ze swoją mamą, zawisając jej na szyi.

FRASZKI.

PRAKTYCZNI.

Pewna matka poszła z córką do cyrku, w którym pokazywali się dzicy, co dla ozdoby obrączki w nosach nosili:

— Patrz, mamo — rzecze córka — jacy ci dzicy ludzie praktyczni! Noszą obrączki w nosie, aby zaraz każdy wiedział, który z nich żonaty.

DOBRA RADA.

A.: Nie ma innej rady na twoje cierpienie, jak chodzenie, ruch.

B.: Dobrze, ale przecież muszą mieć jakiś powód, dla którego będę chodził; bez powodu nie robię niczego.

A.: Wiesz co? Pożycz mi 100 marek, a ręczę ci, że dosyć się wtedy nachodzisz, zanim je odemnie odbierzesz.

OSTATNI WYRAZ REKLAMY.

Sędzia do podsądnego: Oskarżony jesteś, żeś wszedł na sam szczyt pomnika księcia Wellingtona, żeś mu zawiązał naokoło szyi kilkanaście krawatów i zawiesił mu na rękach kilka par trzewików, przylepiwszy na jego ramionach afisz z adresem swego magazynu.

— Istotnie, panie sędzio, wszystko to zrobiłem. Trzeba sobie pomagać w interesie.

— Nie dość na tem. Chciałeś ubrać posąg w żakiet z napisem: „Idźcie do Salomona i kupujcie żakiety takie, jak nosi książę Wellington za 18 szylingów 6 pensów."

— Wszystko prawda, — mówi oskarzony, — ale niech pan sędzia mówi głośniej, aby wszyscy obecni dobrze słowa pana słyszeli.

— Jakto! — woła sędzia tknięty nagłą myślą — czyżbyś śmiał używać sprawiedliwości najwyższej w interesie reklamy?

— Nie inaczej, panie sędzio. Ja sam wniosłem skargę na siebie. W tych ciężkich czasach trzeba pomagać sobie, jak się da.

SPÓŁKA.

Student: Jestem spólnikiem w handlu mego ojca.

Profesor: Jakto? Przecie pan uczysz się na lekarza, a ojciec pana jest kupcem!

Student: Tak jest, a mimo to jestem jego wspólnikiem! On się stara o dochody i zbiera, a ja się staram o wydatki i wydaję.

WDZIĘCZNY.

Pewien człowiek, który ukradł świnię, został skutkiem wymowy swego adwokata uwolniony. Po terminie tak się tedy do niego odezwał:

— Proszę pana adwokata nie wiem jak podziękować za obronę, zapłacić nie jestem w stanie, pozwól pan, żebym mu przysłał szynkę z owej skradzionej świni.

LOGIKA PIJAKA.

Wypić jeszcze jednego, czy nie? Rozum mówi: nie; żołądek mówi tak. Rozum jest mędrszy, aniżeli żołądek; ponieważ zaś mędrszy ustępuje, przeto wypiję jeszcze jednego!

CIERPLIWOŚCI.

Chory (do lekarza): Lekarstwa, jakie mi pan zapisuje, wcale mi nie pomagają. Mnie się zdaje, że pan nie wie, na jaką chorobę choruję?

Lekarz: To nic nie szkodzi; pokaże się to dokumentnie przy sekcyi ciała.

ZBYTECZNY PODAREK.

— Cóż podarujesz twemu mężowi na imieniny?

— Jeszcze nie wiem, ale zapewnie nic.

— To się nie fatyguj, bo to on już posiada.

ZE SZKOŁY.

Nauczyciel: Walek, powiedz mi, ile wynosi połowa od pięciu?

Uczeń (do drugiego): Widzisz, już mnie ma, bo gdy powiem dwa, to za mało, a powiem trzy, to za wiele.

Zaproszenie do przedpłaty.

Dziwnie się plecie na Bożym świecie i jak łacińskie przysłowie mówi, »dziwny los nawiedza ludzi i pisma.« Dziwne też zaiste losy przechodzi nasze »Światło.« Z kim o niem mówić, każdy je chwali; i prostym i uczonym się podoba; gazety pochlebnie o niem piszą, a mimo tego »Światło« nie może i nie może jakoś wcale stanąć na mocnych nogach; jak przed rokiem, tak i dziś musimy niestety powiedzieć, że »Światło« jeszcze ma za mało abonentów, aby byt jego był zapewniony.

Nie umiemy sobie wprawdzie tego wyjaśnić, ale nie damy się tem odstraszyć i będziemy »Światło« wydawali i w przyszłym roku. Ażeby zaś uczynić wszystko po woli abonentów, przeto postanowiliśmy wydawać **„Światło" od I-go Stycznia 1892 dwa razy na miesiąc,** bo niektórzy z abonentów mówili, że im za długo czekać na zeszyty od miesiąca do miesiąca. Inni znów skarżyli się, że druk w »Świetle« za mały, zwłaszcza dla ócz starszych ludzi i dzieci; od Nowego Roku będziemy tedy »Światło« nowym, **większym** drukiem drukowali. Niektórzy z abonentów życzyli też sobie, abyśmy w »Świetle« więcej zagadek, łamigłówek, uciesznych obrazków i t. p. rzeczy zamieszczali a za dobre rozwiązania nagrody dawali; **i temu życzeniu uczynimy zadość** i w dodatku do dzisiejszego numeru podajemy kilka zagadek, za których rozwiązanie piękne nagrody przeznaczamy. Mimo tych wszystkich ulepszeń, **cena „Swiatła" pozostanie tą samą, co dotąd, t. j.**

☞ 1 markę na kwartał. ☜

W dzisiejszym dodatku podajemy też niektóre rzeczy, o których na przyszły rok w »Świetle« pisać będziemy. Każdy z Szan. Czytelników poznać z tego może, że »Światło« szczerze się stara, aby dobrą duchową strawę swoim Czytelnikom podawać.

Szan. Czytelnikom, którzy nam są wierni, dziękujemy serdecznie za poparcie a zarazem prosimy ich, aby i nadal »Światło« popierali i innych do abonowania »Światła« zachęcali.« Rok tedy jeszcze będziemy próbowali, czy »Światło« nie zdoła sobie zjednać dostatecznej liczby abonentów. Byłoby nam bardzo boleśnie, gdybyśmy się zawieść mieli, a dla wszystkich Polaków wstyd byłby nie mały, że przeszło 3 miliony w samych Prusach, jednego potrzebnego i pożytecznego pisma przy życiu utrzymać nie zdołały. Cóżby sobie inne narody, które setki podobnych pism utrzymują, o nas pomyśleć musiały? Oto musiałyby sądzić, że nie ma w nas rzetelnego poczucia i rzetelnej miłości ku naszej polskiej mowie i że małodusznie patrzymy na to, jak dobra oświata, zamiast się szerzyć, maleje i upada. — Prosimy serdecznie o szczere poparcie »Światła« wszystkich Polaków dobrej woli.

Bytom, w Listopadzie 1891.

Wydawnictwo „Katolika." *Redakcya „Światła."*

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Sz.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Nakładem Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Sz.

wyszły następujące książki:

Żywot św. Alojzego (z ryciną tegoż świętego). Cena 15 fen. z przesyłką 18 fen. 50 egz. za 7 mrk. franko, 100 egzemplarzy za 13,50 mrk. franko.

Żywot św. Stanisława Kostki (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Żywoty ś. Jadwigi, bł. Kunegundy, Jolenty, Salomei, (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Wykaz przyjęcia do bractwa trzeźwości 10 fen., z przes. 13 fen. (100 egz. 4,50 m. fr.)

Cudowne przeniesienie Domku N. M. Panny z Nazaretu do Loretu, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Rachunek sumienia czyli Przygotowanie do pierwszej spowiedzi świętej 5 fen., z przesyłką 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Litania do Przenajśw. Serca P. Jezusa 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Pieśni kalwaryjskie, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Modlitwa przez Stolicę Apostolską nakazana, 2 fen., z przes. 5 fen. (100 egzempl. 1,70 m. franko).

Modlitwa do św. Józefa (po polsku i po niemiecku), 2 fen., z przesyłką 5 fen. (100 egzempl. 1,70 mk. franko).

Chrześciański paszport na całe życie. Pamiątka pierwszej Komunii św. (dla młodzieńców. Cena 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Pamiątka pierwszej Komunii św., zawierająca treść głównych zasad wiary, sposób słuchania Mszy św., oraz naukę o Najświętszym Sakramencie. Cena 20 fen., z przesyłką 23 fen. (50 egz. 9 m. franko.)

Andenken an die Erste heilige Kommunion, enthaltend die wichtigsten Glaubenswahrheiten, eine Anleitung zum andächtigen Beiwohnen der heil. Messe, sowie die Lehre vom allerheilig. Altarssakramente. Cena 20 fen., z przes. 23 fen. (50 egz. 9 m. franko).

Dobry Katolik w protestanckich okolicach. Cena 10 fen., z przesyłką 13 fen. (100 egz. 6 m., 500 egz. 25 m., 1000 egz. 45 m.

Walka przeciw gorzałce 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Elementarz polski 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Złota książeczka dla dziewic chrześciańskich, 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Złota książeczka dla młodzieńców chrześciańskich, 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Przewodnik dla robotnic, 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Modlitwy jakie kapłan przy Mszy św. odmawia. Cena egzempl. 15 fen., z przesyłką 18 fen.

O przyzwoitości chrześcijańskiej. Nauka dla wszystkich stanów, mianowicie dla młodzieży. — Cena egzempl. 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Stary kościół Miechowski, obrazek obyczajów wiejskich na G.-Szląsku napisał ks. Norbert Bontzek. Wydanie drugie z dodatkiem. Cena 75 fenyg., z przes. 85 fen.

Wilk socyaldemokracki albo Panowanie, podług urojeń socyaldemokrackich. Cena książeczki o przeszło 40 stronach druku, wynosi 15 fen. z przesyłką 18 fen.

Z pobytu w Bośni. Wrażenia, obrazki i szkice skreśliła Marya z Seredyńskich Jakubowska. Cena 70 fen. z przesyłką 80 fen.

Obrona Wiednia czyli Niemieckiego Państwa i Chrześciaństwa przez Jana Sobieskiego, Króla Polskiego 12-go września 1683-go roku. Na pamiątkę 200-letniej rocznicy skreślił dla braci Szlązaków Juliusz Ligoń. Cena z przes. 20 fen.

Koszyk Jabłek. Legenda o św. Janie Kantym (z ryciną). 25 fen. z przesyłką 28 fen.

Szczęście na wsi. Powieść ks. A. Łukaszkiewicza. Cena egz. 65 fen., z przes. 75 fen.

Wierna Rózia czyli zwycięstwo wiary katolickiej. Powieść z obecnego czasu, tłómaczył Karól Miarka. Cena egzempl. brosz. 60 fen., z oprawą 85 fen. Na portoryum uprasza się dołączyć 10 fen.

Ze zdrowego pnia napisał X. Stan. Kostka 50 fen., z przes. 55 fen.

Kto winien? napisał X. Stan. Kostka 40 fen., z przes. 45 fen.

Walka o byt i walka o cnotę napisał X. Jan *** Cena 55 fen. franko.

Masoni czyli wolnomularze. Odbitka z „Światła." Cena 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Wianek najucieszniejszych anegdot i fraszek dla śmiechu i zabawy, ale i dla pouczenia. Cena 35 fen., z przes. 38 fen.

Całe życie figlarz czyli żywot najuciesznięjsz. człowieka. Cena 15 fen., z przesyłką 18 fen.

Wesoły bajarz czyli zbiór najuciesznięjszych powiastek. Cena 15 fen., z przesyłką 18 fen.

Skowronek, zbiór pieśni rólniczych, poważnych, żartobliwych 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Pieśni Polskie używane na Górnym Szląsku. Cena zeszytu 20 fen. Zeszyt I-szy, II-gi i III-ci kosztuje z przesyłką franko 60 fen.

Pieniądze trzeba nadsyłać naprzód. Należytość aż do 3 marek można także w znaczkach pocztowych przesyłać. — Kto zakupi za gotówkę za 3 marki naraz, otrzyma przesyłkę franko. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Rozwiązanie zagadki

z zeszytu 11-go:

KA-RA-WA-NA.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Feliks Musialik z Rozbarku; Andrzej Kopietz i Jan Kruppa z Zabrza; Fr. Wozipiwo i Robert Jochimski z Załęża; Franciszek Herla z Lendzin; A. Ocelok z Nowych Hajduk; Jan Kowalski i Alojzy Hetmaniok; Antoni Sieroń z Rudy; Paweł Śmiłowski z Laurahuty; Józef Kosmol z Glinic; I. Bomba z Szyrokowa; Józef Lepiorz z Roszowskiego Lasu; Jan Litwinski z Brzuszc; Jan Niesłon i Ignacy Niesłon z Król. Nowejwsi przy Opolu; Jan Kortyka z Georg-Colonii; Antoni Machnik z Siemianowic; Franc. Łukaszkowic z Chorzowa; F. Arendt z Bonn nad Renem; Jan Gracka z Piotrowic; Franc. Jazdanowski z Żegocina; Maciej Nejczyk z Ostrowa; T. Jachowski z Jarocina; Leoś Wdowicki z Kościana; Roman Szymański i Jan Szusterkiewicz z Ponieca; Tadzio Stark z Oporowa pod Poniecem; Teodor Kamiński z Podgórza pod Toruniem; Józef Pogłodziński z Berlina.